



TANIEC Z DALEKIEJ INDONEZJI

OGLĄDALI UCZESTNICY FESTIWALU BUKARESZEŃSKIEGO, KTÓRY BYŁ WSPANIAŁYM PRZEGLĄDEM OSIĄGNIĘĆ SZTUKI LUDOWEJ WIELU KRAJÓW I NARODÓW ŚWIATA.

SWIAT NASZA KRONIKA

AMERYKAŃSKI minister spraw zagranicznych, noszący tytuł sekretarza stanu, John Foster Dulles, udał się do Seulu, gdzie spotkał się ze swym przyjacielem Li Syn Manem. Obaj panowie po naradzie ogłosili, że raczą udzielić konferencji politycznej, mającej się zebrać w sprawie Korei, dziewięćdziesięciu dni czasu dla powzięcia decyzji. Ani jednego dnia, ani jednej godziny więcej. Tak właśnie oświadczyli: dziewięćdziesiąt dni. Jeśli zaś konferencja, w której wezmą udział przedstawiciele wielu państw, nie zastosuje się do wymagań panów Dullesa i Li Syn Mana, wówczas... Wówczas decydują się oni wspólnie, jednocześnie i zgodnie — jak dwaj syjamscy bracia — konferencję opuścić.

Nawet prasa zachodnia stwierdziła, że pakt tej treści, zawarty między Dullesem i Li Syn Manem, nazywa się ultimatum. Jest to dziwne ultimatum. Wystosowało je dwóch panów pod adresem konferencji międzynarodowej, która jeszcze się nie zebrała, której skład ani miejsce obrad nie są wiadome. Ultimatum to rzucono praktycznie w przestrzeń, bez adresu. Ot takie sobie gwizdnięcie: „A jak się nie poddacie naszej komendzie, to my po dziewięćdziesięciu dniach obrażymy się i z konferencji wyjdziemy”.

Tak sobie dwaj panowie z Seulu wyobrażają stosunki międzynarodowe: albo dzieje się tak jak oni chcą, albo — grożą — wznowienie wojny. Wszystko to zaś razem w ich języku nazywa się poszanowaniem praw międzynarodowych, międzynarodowych instytucji, równością wszystkich narodów, demokracją w stosunkach międzynarodowych i temu podobnymi rzeczami.

Naród koreański słusznie nie bierze na serio tych oświadczeń, i śmiało, korzystając z rozejmu, podejmuje dzieło odbudowy swego kraju. Cement, żelazo i stal płyną już niosąc odbudowę miast, wsi, fabryk, szkół, zburzonych barbarzyńsko przez imperialistów. Ultimatum to rzecz nie straszna dla narodu koreańskiego. Wytrzymał on przeszło trzyletnie ultimatum bombardowań i śmiercionośnego ognia, przeszło trzy lata trwające nieustanne ultimatum brzmiące „albo padniecie na kolana, albo zginiecie”. Nie padli na kolana i nie zginęli. Nie zginęli, bo nie padli na kolana.

ATERAZ ci sami ludzie, którzy chcieli zgnać naród koreański i którym to się nie udało, chcą zmusić do uległości... Kogo? — pytacie. No nas wszystkich, całą ludzkość. Gdy nie ma jeszcze konferencji w sprawie Korei, gdy jej skład, nawet i miejsce i czas zebrania nie są wiadome, do kogoż to ultimatum sułskie? Te dziewięćdziesiąt dni, te wycofamy się, żądamy itd. panów Dullesa i Li Syn Mana? Do nas wszystkich, do całej ludzkości.

Do kogo ta mowa? — zapytałby wiechowski, warszawski rodak. I do nas, i do mnie, i do ciebie, i do ludzi na całym świecie. No więc mamy się poddać panom Dullesowi i Li Syn Manowi, a przeważnie — jak by powiedział wyżej już wspomniany warsza-

wiak — Dullesowi. Dziewięćdziesiąt dni i nie rozchodźmy się, bo oni się obrażą...

Ba, tak na oko, z góry, choć nie wiemy, kiedy ten termin się zacznie, ani kiedy się skończy, tak na oko powiedzieć możemy, że nie będzie to dziewięćdziesiąt dni, które wstrząsną światem. Pewno, panowie Dulles i Li Syn Man (a przeważnie Dulles) mają jeszcze wiele możliwości zrobienia zamieszania w świecie. Ale już nie tyle, żeby mogli światu stawiać trzymiesięczne ultimatum.

Panowie Dulles i Li Syn Man (a przeważnie Dulles — i w dalszych wywodach dla skrócenia tego Li Syn Mana w ogóle opuścimy), autorzy ultimatum, zapomnieli, w jakim to świecie żyją, w jakim to świecie znajduje się ich Waszyngton. Świat dzisiejszy widać dokładnie, jak i jego przyszłość, nie przez komunikaty ogłaszane w Waszyngtonie. Świat dzisiejszy i jego przyszłość widać dokładnie, jasno — przez mowę Malenkowa. I to zarówno przez tę część poświęconą sprawom radzieckim, jak i przez tę poświęconą zagadnieniom międzynarodowym. Premier radziecki, wymieniając w swoim przemówieniu wiele narodów świata, wielkich i małych, wobec żadnego nie użył słów groźby czy ultimatywnych żądań. Przeciwnie, mówił Malenkow o głębokiej wierze rządu radzieckiego i narodu radzieckiego w politykę rozmów i rokowań, w politykę układów, wyjaśniających stosunki między narodami.

ZJAKIEGOŻ to tytułu p. Dulles ma prawo stawiać światu ultimatum o wojnie i pokoju, gdy ma za sobą klęskę w Korei, a przed sobą słowa Malenkowa, stwierdzającego, że Stany Zjednoczone nie mają monopolu na bombę wodorową? Inaczej mówiąc: w niczym, nawet w najpotężniejszym uzbrojeniu siły pokoju nie ustępują siłom wojny. Na żadnym polu siły pokoju nie dają się zdystansować siłom niepokoju i wojny. Z tym, iż potężne państwo socjalistyczne co godzinę dystansuje w sposób nie do odrobienia stary świat.

Kiedys Archimedes wołał: „Dajcie mi punkt oparcia, a poruszę ziemię!” Ten punkt oparcia społecznego, gospodarczego, politycznego został znaleziony. Punktem oparcia dźwigni, poruszającej świat naprzód, pchającej ziemię naprzód po wspaniałej drodze w przyszłość, w przyszłość mądrego, szczęśliwego bytu — jest człowiek. Marksizm-leninizm odnalazł ten najmocniejszy punkt dziejów. Socjalizm, rozwijający się w komunizm, ustawicznie trwający w postępie rozwoju środków wytwórczych i zaspakajania potrzeb ludzkich, opiera się o człowieka, z jego potrzeb duchowych i materialnych wyrasta i tym potrzebom służy.

O tym mówił Georgij Malenkow.

W kremlowskich salach, od czasu gdy panuje tam radziecka władza, istnieje nowa, wspaniała akustyka, wielki polityczny, radziecki wynalazek. Mądre słowa prawdy, tam mówione, słyszane są i rozumiane przez prostych ludzi na całym świecie.

JAN SZELAĞ

SPOTKANIE W BUKARESZCIE



W Bukareszcie spotkali się czołowi bojownicy o pokój, laureaci Stalinowskiej Nagrody Pokoju: Elisa Branco, Monica Felton, Hewlett Johnson i Ikuo Ojama.

ECHA FESTIWALU



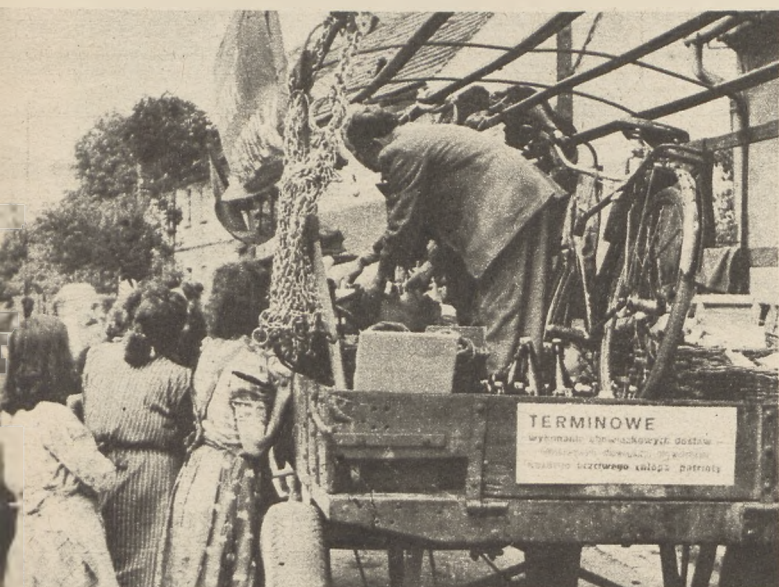
Chętnie odpowiada na pytania skandynawskich delegatów mieszkanka Bukaresztu. Ci młodzi ludzie opowiedzą w swym kraju prawdę o życiu w Ludowej Rumunii

PRZED KONGRESEM STUDENTÓW



Studenci polscy przygotowują się w miejscowości podwarszawskiej do sprawnego pełnienia roli gospodarzy na Światowym Kongresie Studentów w Warszawie,

RUCHOMY PUNKT SPRZEDAŻY



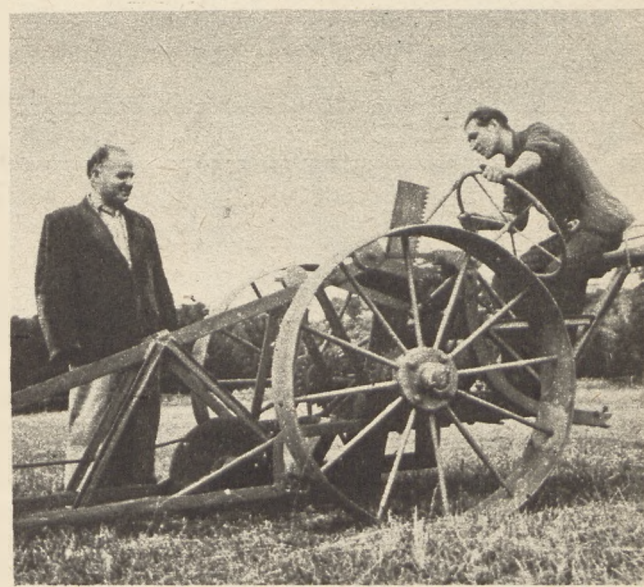
Gminna Spółdzielnia Samopomocy Chłopskiej w Starych Bogaczewiczach (pow. Wałbrzych) zorganizowała ruchomy punkt sprzedaży, zaopatrujący podczas żniw miejscowych rolników.

RYBY ZE SZTUCZNEGO JEZIORA



50 ton ryby rocznie (sandacza, szczupaka i karpia) przynoszą połowy na sztucznym zbiorniku wodnym w Otmuchowie, pow. Nysa

TECHNIKA KROCZY NAPRZÓD



Inżynierowi Janowi Kwapiszewskiemu (po lewej) opracowanie nowego typu pługa do kreciego drenowania, stosowanego przy melioracji, przyniosło Nagrodę Państwową.

W ZACHODNIM BERLINIE



Kwiaty trzeba dobrze ukryć przed policją — ich sprzedaż jest podstawą bytu bezrobotnego inwalidy-stolarza Kurta Sandmanna, jego żony i czworga dzieci.

UCIECZKA SZACHA



Po nieudanym zamachu stanu szach Iranu zbiegł wraz ze swą żoną do Bagdadu. Jego gwardia przyboczna zaatakowała rezydencję premiera Mossadika i aresztowała ministra spraw zagranicznych. Wojska — wierne premierowi — przywróciły wkrótce ład

FIASCO W BADEN-BADEN



Nie dogadali się w sprawie „europejskiej wspólnoty politycznej” ministrowie spr. zagr. krajów „planu Schumana”. Na zdjęciu: van Zeeland (po lewej) w Baden-Baden.

WĘGERSKIE ŻNIWA



Także i na Węgrzech sprawnie przebiega młocka tegorocznych plonów dzięki nowoczesnemu sprzętowi rolniczemu.

TAM, GDZIE WŁADA LUD...



Przemieły Chiny feudalnego ucisku i ciemnoty ludu. 152 pałace kultury oraz tysiące świetlic i klubów fabrycznych zapewniają dziś robotnikom chińskim wypoczynek i rozrywkę. Na zdjęciu: pałac kultury.



6 sierpnia strajk całkowicie sparaliżował ruch pocztowy, telefoniczny i telegraficzny w całym kraju. Pocztowcy zbierali się przed nieczynnymi biurami

AKCJA strajkowa we Francji objęła miliony pracowników. W całym państwie kraju zamarł ruch na kolejach, ustała praca w hutach i kopalniach, zamknęły się drzwi urzędów, poczt, zakładów użyteczności publicznej. Lud francuski walczy o swe prawo do życia i do ludzkiej godności.

Dekrety wyjątkowe, projektowane przez premiera Laniela, jednego z największych potentatów finansowych Francji, wyrzuciłyby na bruk dziesiątki

PRZECIWKO DEKRETOM GŁODU

tysięcy pracowników państwowych. Dekrety te podwyższyłyby kilkakrotnie i tak już wysokie czynsze, ustanowiłyby głodowy wymiar zasiłków dla wdów po poległych żołnierzach. Premier Laniel każe płacić francuskim robotnikom, urzędnikom i chłopom za brudną wojnę w Indochinach, za koszty „armii europejskiej”, za fortuny producentów i handlarzy broni, za politykę podżegania do nowej rzezi. Lecz lud francuski odpowiada, że nie tylko za tę politykę płacić nie będzie — lecz domaga się polityki krańcowo różnej; takiej, która zapewni godną egzystencję pracownikom, która stać będzie na straży interesów mas pracujących i warstw średnich, która położy kres okradaniu skarbu państwa przez wielkie trusty.

W akcji strajkowej zjednoczyli się członkowie wszystkich central związków

zawodowych, aprobuje gorąco apel CGT oraz apel Partii Komunistycznej, która zwróciła się z propozycją wspólnego działania do Partii Socjalistycznej. Jak zwykle, przywódcy rozłamowych związków zawodowych porozumiewają się z rządem i podejmują manewry, mające stordedować ruch strajkowy. Lecz dążność najszerzych rzesz pracowników do jedności jest silniejsza niż kiedykolwiek dotąd.

W chwili, gdy piszemy te słowa, ruch strajkowy objął około czterech milionów osób. Pracownicy powracający z urlopów masowo przystępują do strajku.

W całej Francji odbywają się zbiórki pieniężne na rzecz strajkujących. Społeczeństwo francuskie gorąco popiera walkę mas pracujących przeciw polityce wojny i nędzy.



Wojsko ma zastąpić strajkujących pocztowców, przewożąc na ciężarówkach listy. W Lyonie w roli łamistrajków wystąpili kryminaliści z więzień



Zamarł skomplikowany system paryskiej komunikacji miejskiej, którego nie postawią na nogi zmobilizowane naprędce ciężarówki wojskowe, przewożące po kilkunastu pasażerów

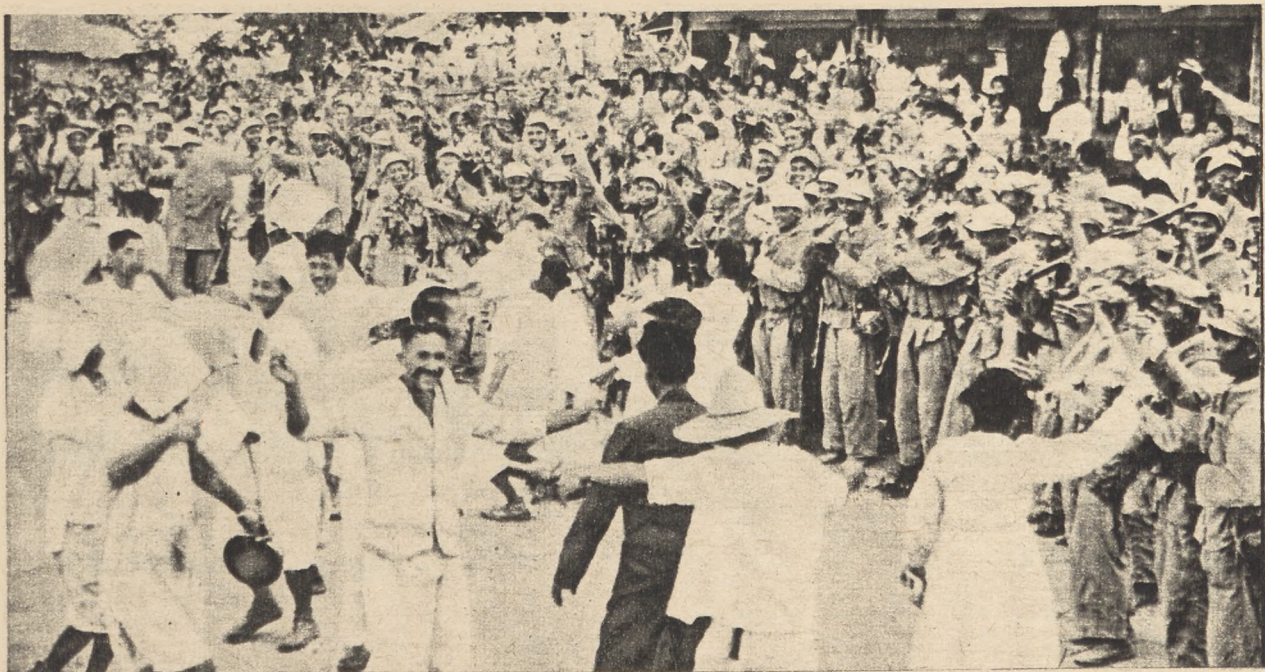


Całą Francję objął potężny ruch strajkowy, ogarniający milionowe rzesze ludu pracującego. Strajk, który wybuchł w przedsiębiorstwach państwowych (na zdjęciu: zebranie strajkujących kolejarzy na Dworcu Północnym w Paryżu), przerzucił się na przedsiębiorstwa prywatne. Masy walczą o swe interesy!

Pociąg nie nadejdzie — kolejarzy strajkują! Walka z rządową polityką wojny i nędzy cieszy się aktywnym poparciem większości narodu francuskiego. Przejawem tego są zbiórki pieniężne na rzecz strajkujących, odbywające się na terenie całej Francji

Kosze ze śmieciami nie zostaną wywiezione — pracownicy miejscy strajkują! Walczą oni z polityką rządu, który obniża poziom życia ludzi pracy dla sfinansowania awanturniczych przygotowań wojennych i „brudnej wojny” w Vietnamie





TAŃCEM UMILAJĄ MIESZKAŃCY KAESONGU OSTATNIE CHWILE POBYTU OCHOTNIKÓW CHIŃSKICH. UMILKŁY STRZAŁY, ALE CZUWAĆ NADAL TRZEBA

PIERWSZE DNI

Zdjęcia: CHIŃSKA AGENCJA TELEGRAFICZNA

WIEŚCI, nadchodzące przez minione trzy lata z Korei, pisane były ponurym językiem stali, krwi i ognia. Korea krwawiła — bohaterskie jej miasta i wsie niemal co noc płonęły napalmowym ogniem. Teraz wieści nadchodzące z tego kraju, zwanego przez mieszkańców „Krajem porannej świeżości” — pisane są już radosnym językiem odbudowy.

Stolica Koreańskiej Republiki Ludowo-Demokratycznej — bohaterski Phenian, była przez cały czas wojny sercem oporu. Na miasto to amerykańscy piraci powietrzni zrzucili co najmniej 430 tysięcy bomb, zabijając 29 tysięcy mieszkańców i raniąc ciężko 12 tysięcy. Straty w ludziach i przeprowadzona ewakuacja ludności cywilnej zmniejszyły zaludnienie tego półmilionowego miasta do 175 tysięcy osób.

Plan odbudowy Phenianu opracowany został jeszcze podczas wojny i realizowany będzie przez 10 do 15 lat. Najważniejsze prace budowlane wykonane będą jednak w trzy lata, przy czym przewiduje się, że w ciągu roku bohaterska stolica będzie miała znowu pół miliona mieszkańców, a za 10 lat — milion. Gmachy w mieście odbudowane będą w klasycznym stylu architektury koreańskiej. Zajmować będą tylko 20% powierzchni Phenianu, a całą resztę — pokrywać będzie zielen. Charakterystyczne, że pierwszym gmachem, budowanym obecnie w Phenianie, jest teatr. Imperialiści chcieli zniszczyć koreańską kulturę i umiłowanie życia — ale celu swego nie osiągnęli. Życie zatriumfowało nad śmiercią.

Podając do wiadomości ten plan odbudowy stolicy republiki, przewodniczący Rady Narodowej Phenianu powiedział: „Wierzimy w realność tego planu, ponieważ znamy siły i możliwości naszego narodu, ponieważ wiemy, że oparciem naszym będzie pomoc wielkiego Związku Radzieckiego, Chin i krajów demokracji ludowej”.

Ze wszystkich krajów obozu pokoju — od Łaby aż po Kamczatkę — nadchodzą wieści o pomocy, organizowanej dla Korei. Miliard rubli przeznaczył na ten cel rząd radziecki. Rząd PRL również postanowił przyjąć z pomocą narodowi koreańskiemu, który ma przed sobą teraz te same zadania, jakie czekały nas przed ośmiu laty. Pracownicy niektórych polskich biur projektowych przygotowują dokumentację dla odbudowy miast i obiektów przemysłowych w dalekiej Korei. Korea żyje i żyć będzie!



Ochotnicy chińscy, którzy złożyli życie w ofierze w walce o wolność Korei, pozostaną na zawsze w ziemi, której bronili. Pamięta o tym ludność żegnająca ich rodaków, wycofujących się ze strefy zdemilitaryzowanej.

Tak w Kaesongu, gdzie 25 tysięcy mieszkańców miasta manifestowało radość z rozejmu, jak i innych miastach Korei Północnej — hasłem dnia jest odbudowa.





TEMIDA

BEZ PRZEPASKI

JERZY ŻUKOWSKI

Zdjęcia: J. KOSIDOWSKI

PROKURATOR. Już samo słowo brzmi jakoś groźnie. Człowiek w czarnej todze, o twardych, beznamiętnych rysach twarzy, czuwa nad literą prawa. Obce mu są wszelkie sentymenty. Spośród gąszczu paragrafów wybiera najostrejsze i go dzi nimi bezlitośnie w każdego, kto popadł w najmniej-szy choćby konflikt z prawem.

— ...i wnoszę o zastosowanie najwyższego wymiaru kary...

Ta sakramentalna formuła stanowi wymarzone dopełnienie sylwetki klasycznego prokuratora, którym do dziś jeszcze straszy się dorosłych, podobnie jak do niedawna straszono dzieci kominiarzem.

Wiele jednak starych pojęć i reguł, wiele niewzruszonych zdawać by się mogło systemów obaliło życie, obaliła nowa rzeczywistość. Powstały nowe prawa, ukształtowała się nowa świadomość i moralność społeczna, znikł też i rozplynął się w przeszłości prokurator dnia wczorajszego, po którym zachowała się tylko czarna to-ga i wspomnienia, budzące jedynie lęk wśród dorosłych, i to raczej w wieku powyżej lat trzydziestu.

No dobrze, mógłby ktoś powiedzieć, starego prokuratora już nie ma, stał się rekwizytem, ale istnieje przecież nowy, który też w gruncie rzeczy jest tylko prokura-torem. A wiadomo, co prokurator, to prokurator!

Racja! Oskarżyciel publiczny jest z natury... oskarży-cielem. Ale ta funkcja społeczna stanowi dziś załedwie niewielki fragment jego szerokiej działalności. Zresztą — co tu dużo dyskutować: najlepiej zawrzeć znajomość z jednym z ludowych prokuratorów i przekonać się, jak właściwie wygląda on naprawdę...

SPRAWA CHLEBA...

- Nie ma!
- Co też pani mówi, przecież widzę, że jest.
- Tak, ale śmierdzi. Paskudztwo, nie do jedzenia.
- Ano, pokaż pani, niech zobacze...

Zażywna niewiasta z siatką, wyładowaną jarzynami, bierze do ręki bochenek chleba i zaraz odsuwa go ze wstrętem.

— Faktycznie śmierdzi. Że też takie świństwo wy-piekają... A innego pani nie ma?

Lucyna Kiliszek, kierowniczka sklepu MHD Nr 107 w Wołominie, wzrusza ramionami.

— Niestety, nie mam.

— To co robić? — zastanawia się głośno kobieta z siatką. — Po innych sklepach widziałam kolejki za pieczywem.

Lucyna Kiliszek nic nie może poradzić klientce. Sama ma kłopoty z piekarnią PSS. Dowożą chleb nieregularnie, zwykle pod koniec dnia, tak że przed skle-pem tworzą się kolejki. Pieczywo bywa niesmaczne, ludzie się skarżą. No a dziś, to już po prostu skandal. Przecież po zjedzeniu tego chleba można się rozcho-rować...

— A wie pani — mówi do klientki — że tego śmier-dzącego chleba już nie podaruję. Pójdę do prokuratora i koniec.

— Do prokuratora? Co też pani mówi, pani Kiliszek? Z chlebem? A cóż go to obchodzi?

Na twarz kobiety z siatką maluje się zdumienie po-mieszane z trwogą.

— Do prokuratora — powtarza nie mogąc wyjść z podziwu. — Zartuje pani chyba. A czy to kogo zamor-dowali, ograbili, żeby prokuratorowi głowę zawracać?

Lucyna Kiliszek wzięła jednak pod pachę bochenek śmierdzącego chleba i poszła do prokuratora...

Prokuratorem powiatowym w Wołominie jest oby-wateł Stanisław Krysiak, szczupły mężczyzna o zmęczo-nym wyrazie twarzy i bystrych oczach, w których błyszczy niespożyta energia. Lucyna Kiliszek dostała się do niego bez trudu. Siedzi teraz przy biurku i wzburzo-na opowiada historię z chlebem. Prokurator od czasu do czasu rzuca krótkie pytania i notuje dokładnie otrzy-mane odpowiedzi.

— Właściwie, to nie byłam pewna — mówi Lucyna Kiliszek — czy do pana prokuratora należy ta sprawa, ale z tą piekarnią nie mogłam już dać sobie rady, więc pomyślałam, że kto jak kto, ale pan prokurator coś z tym zrobi.

— No i dobrze pani zrobiła — uśmiecha się proku-rator Krysiak. — Zaraz przeprowadzimy dochodzenie i wyjaśnimy, kto w tym wypadku zawinił. Przecież to karygodne przestępstwo. Marnotrawi się mąkę, sprze-daje się chleb nie do jedzenia, przed sklepami tworzą

się kolejki... Osobiście zajmę się tą sprawą. Może pani spokojnie wrócić do pracy. Wkrótce wszystko będzie w porządku.

W notatniku prokuratora pojawiła się jeszcze jedna pozycja do natychmiastowego załatwienia. Obywatelka Kiliszek wychodzi z poczuciem dobrze spełnionego obo-wiązku. Mija w drzwiach następnego interesanta.

CI, KTÓRZY DOSTARCZAJĄ ZBOŻE...

Malinowski Aleksander z gromady Łosie został wezwany. Gminny delegat Ministerstwa Skupu nadesłał bowiem wniosek o wszczęcie przeciwko niemu postępo-wania karnego, ponieważ zalega z odstawa 1090 litrów mleka z zeszłego roku.

— No i co będzie z tym mlekiem — pyta prokurator Krysiak. — W jaki sposób zamierzacie uregulować pow-stałe zaległości?

— Ano nie zamierzam, panie prokuratorze. Nie mam z czego.

— Jak to nie macie? Przecie gospodarujecie na 11 he-ktarach... Po raz drugi już z wami rozmawiam i bez skutku. Zrozumcie, że jeśli dalej będziecie się złośliwie uchylać od obowiązkowych dostaw, to zmusicie mnie do zastosowania wobec was aresztu. W tym roku też za-legacie z odstawa mleka. No i do czego to doprowadzi?

Obywatel Malinowski patrzy chmurnie i z niechęcią na prokuratora.

— Kiedy mówię, że nie mam, to nie mam i kwita. Oddam zaległe mleko, to nie wystarczy na podatek. Mo-że jak bym był zdrow, to bym wydołał. Ale tak. Robić komu nie ma. Ja nie mogę, bo ciągle leżę w łóżku, a syn, co ma 17 lat, i córka piętnastoletnia gospodarzyć nie umieją.

— No, a gdyby wszyscy chłopci powiedzieli tak jak wy. Nie mam i nie dam. To co wtedy?

Malinowski wzrusza ramionami.

— Inni nie są chorzy i mogą pracować — powtarza uparczywie — a ja już jestem stary i chory i nie mogę dać rady.

Prokurator marszczy brwi. Przypomina sobie sprawę Walerego Kosickiego, z gromady Małopole. W kwiet-niu delegat gminny Ministerstwa Skupu skierował wniosek o wszczęcie przeciwko niemu postępowania karnego za złośliwe zaleganie z obowiązkowymi dosta-wami. Prokurator Krysiak wyjeżdżał w tej sprawie, by na miejscu stwierdzić stan faktyczny. No i okazało się, że Kosicki i cała jego rodzina chorują na gruźlicę, a go-spodarka zupełnie podupadła. Wtedy Prezydium Powia-towej Rady Narodowej na wniosek prokuratora umo-rzyło Kosickiemu wszystkie zaległości, a Wydział Zdro-wia zajął się całą rodziną. Może z Malinowskim sprawa ma się podobnie?

— No a jak ze zbożem? Oddacie na czas?

— A zboże, to oddam. Chociaż słabe w tym roku, źle obrodziło.

— Przecież niedawno byłem razem z komisją i w czasie próbnych omłotów badaliśmy plony — mówi pro-kurator. Są lepsze niż w zeszłym roku. A z mlekiem, to wielu z waszej gromady zalega — dodaje po chwili. — Mówią, że nie mają z czego odstawać, a sam widziałem, jak wożą po kilka baniek co dzień na handel do War-szawy.

— Inni może wożą, ale ja nie — upiera się Malinow-ski.

Prokurator Krysiak zastanawia się chwilę.

— A więc daję wam dodatkowy termin uregulowa-nia zaległości w ciągu miesiąca, albo niech będzie sześć tygodni. A syna weźcie krótko. Z pewnością w głowie mu „kawalerka“ i ojcu nie chce w robocie pomagać. Co?

— Oj, co to, to ma pan rację, panie prokuratorze.

— No, widzicie. Łata pewnie na zabawy do Załubic. A tam nic dobrego. Tylko bójki, pijatka i awantury.

— To pan prokurator zna Załubice?...

— A jakże!

Obywatel Malinowski patrzy już jakoś inaczej na prokuratora. Kiedy opuścił gabinet, w notatniku wid-niała już nowa pozycja:

„Pilne. Sprawdzić sytuację majątkową i zdrowotną Aleksandra Malinowskiego z gromady Łosie“.

NIE TYLKO MALINOWSKI...

Na biurku prokuratora Krysiaka leży plik wniosków od delegatów gminnych Ministerstwa Skupu. Wiele jest jeszcze opornych chłopów, którzy złośliwie uchylają się od obowiązkowych dostaw zboża, żywca, mleka. Dziś jest dzień targowy. Sporo wezwanych czeka już w po-czekalni.

Prokurator Krysiak wertuje wnioski. Kurek Julia z Załubic Nowych zalega z 254 kg żywca. Ma 15,5 ha zie-mi ornej. Kuwalczyk Jan z Małopola też zalega z odsta-wą żywca. Ma 11,5 ha ziemi. Stryczak Piotr, gospodarz na 18 ha, nie odstawił 1155 litrów mleka.

Większość wniosków dotyczy bogatych gospodarzy. W oczach prokuratora błyszczą ogniki gniewu. Najbo-gatsze gminy, posiadające najlepszą ziemię, są najbar-dziej oporne.

Dąbrówka, Ręczaje, Klembów, Radzymin, Jadów wloką się jak zwykle w ogonie powiatu. Prokurator przypomina sobie rok ubiegły. Powiat Wołomin był pra-wie na ostatnim miejscu w województwie, jeżeli idzie o odstawa zboża i ziemniaków. Ileż trzeba było włożyć pracy, przesiedzieć dni po wsiach, by poprzez wielo-godzinne rozmowy, tłumaczenia i wyjaśnianie ludziom, jakie ciążą na nich obowiązki wobec państwa, pod-ciągnąć powiat na piąte miejsce w województwie.

A przecież taka gmina Międzyzles, najbiedniejsza w



Lucyna Kiliszek dostała się do prokuratora bez trudu. Siedzi teraz przy biurku i opowiada historię z chlebem...



Prokurator Krysik kontroluje jeden z komisariatów Milicji Obywatelskiej w Wołominie. Przede wszystkim interesuje go książka zatrzymanych. Czy przypadkiem żadnej osoby nie pozbawiono wolności bez sankcji prokuratora na dłużej niż 48 godzin?

powiecie, skąd przed wojną kuliacy czerpali parobków i służące, najlepiej wywiązuje się ze wszystkich obowiązków. W tym roku gromada Pawłów z tejże gminy rzuciła nawet wezwanie do terminowej odstawy zboża.

Opornych można karać, i to surowo. Ale nie w tym przecież leży sedno rzeczy, by sypały się grzywny i areszty, które prokurator zgodnie z prawem może stosować. Ludzi trzeba przede wszystkim wychować!

Prokurator Krysik mało czasu spędza za biurkiem. W ciągu miesiąca lipca wyjeżdżał 15 razy, bo i spraw zwalało się huk. Trzeba było zajrzeć do POM-ów i PGR-ów, do spółdzielni produkcyjnych, by sprawdzić stan gotowości do akcji żniwnej, stan przygotowania maszyn rolniczych. Trzeba było obsłużyć większe zebrania gromadzkie w związku z obowiązkowymi dostawami i porozmawiać z ludźmi o sytuacji gospodarczej.

A powiat wołomiński ma 17 gmin i dwa miasta. Ustawy muszą być wszędzie wykonane. Prawa muszą być wszędzie przestrzegane. I wszystko to spoczywa na barkach prokuratora.

I TO SIĘ TEŻ ZDARZA...

— To prawda, panie prokuratorze. Ludzie tylko przez złość mi dokuczają i przyskarżają na milicję...

Niemłoda kobieta o ceglastych rumieńcach i małych, żywych oczach nazywa się Feliksa Ślęk i mieszka w Kobylce.

Prokurator Krysik patrzy na nią ostro.

— Ile macie lat?

Obywatelka Ślęk gorączkowo zaczyna szukać czegoś w torebce.

— Muszę zajrzeć do dokumentów, panie prokuratorze. Człowiek zawsze zapomina, kiedy się urodził.

Po chwili okazuje się, że Feliksa Ślęk ma lat 58.

Prokurator Krysik zastanawia się. Siedzi przed nim stara kobieta. Handluje potajemnie wódką. Zeznania wiarogodnych świadków potwierdziły to w pełni. Trzymała w domu trzy i pół litra spirytusu rzekomo „dla celów rodzinnych”. Co gorsza — rozpijała systematycznie robotników z cegielni „Gigant” w Zielonce, oferując im wódkę na kredyt. No i co z taką począć? Jeszcze kłamie w żywe oczy. Jakiej żądać od sądu sankcji karnej, by obywatelka Ślęk zrozumiała popełnione przez nią przestępstwo, by zaniechała dotychczasowego procederu.

Potajemny handel wódką sprzyja szerzeniu się awantur, bójek i chuligańskich wyczynów na terenie powiatu wołomińskiego. Prokurator Krysik wie o tym dobrze. Dlatego też obywatelka Ślęk zasługuje na surową karę.

Kiedy jednak pod koniec zachodzi konieczność podpisania zeznań, okazuje się, że obywatelka Ślęk jest w dodatku analfabeta. Prokurator Krysik zapisuje i ten fakt w swoim notatniku. Trzeba będzie się nad tym jeszcze zastanowić...

Godziny szybko mijają. W poczekalni czeka jeszcze kilkanaście osób. Prokurator Krysik chce wszystkich przyjąć. Przecież niektórzy mieszkają ze dwadzieścia i więcej kilometrów od Wołomina i nie mogą sobie pozwolić na częste przyjazdy. W dni przyjęć prokurator załatwia około 30 interesantów, a w inne dni zawsze przyjmuje ponad dziesięciu. A przecież ma poza tym roboty co niemiara.

PROKURATOR WYKONUJE PLAN...

Można powiedzieć, że prokurator wykonuje plan. Cała jego działalność sprowadza się bowiem do czuwania nad ustawami i praworządnością, nad wprowadzeniem w życie wszystkich poczynań naszego rządu na danym terenie, i do nadzorowania nad ich wykonaniem. A to przecież nic innego jak wykonywanie planu.

Ale w tym wypadku chodzi o coś innego. Prokurator Krysik ma szeroki zakres obowiązków i działania. Nie wolno mu pominąć żadnej dziedziny życia społecznego regulowanej przez ustawy. Dlatego też sporządza swój własny plan działania, w którym przewiduje dokonanie rozmaitych kontroli, sprawdzenia sytuacji w różnych gałęziach gospodarki narodowej na terenie powiatu, zbadanie ujemnych zjawisk, zachodzących w życiu społecznym, poczynienie odpowiednich kroków dla zlikwidowania zdarzającego się zła, krzywd, bezprawia.

Plan prokuratora obejmuje swym zasięgiem różnorodne sprawy: od zbadania, jak w zakładach pracy wprowadza się zarządzenia o wzmożeniu ochrony mienia społecznego — do skontrolowania stanu zaopatrzenia

w towary placówek handlowych. Od roztoczenia opieki nad walką ze stonką ziemniaczaną — do nadzoru nad praworządnością zarządzeń władz terenowych. W planie tym mieści się kontrola dyscypliny pracy, nadzór nad wykonywaniem zarządzeń o bezpieczeństwie i higienie pracy, nad stanem zabezpieczenia przeciwpożarowego w zakładach przemysłowych, czuwanie nad prawidłowym trybem postępowania powiatowego kolegium orzekającego.

Prokurator Krysik sprawdza właśnie swój plan. Ołówkiem oznacza to, co już wykonano. Podkreśla sprawy najpilniejsze. Powoli zapada zmrok. Jeszcze trzeba przejrzeć pocztę.

Oto zawiadomienie, że właściciel prywatnego młyna, niejaki Kaczyński z gromady Turze, usiłował dostarczyć do magazynu GS-u w Tuszczy zawożone zboże w ilości tony. Magazynier Wojtyra zorientował się w porę i żyta nie przyjął. Podobna sprawa miała miejsce parę dni później, kiedy Stanisław Kurek usiłował odstawić 200 kg zawożonego zboża.

Prokurator Krysik zaklął z pasją:

— Co za ludzie! Czy nie rozumieją, że w ten sposób szerzą zarazę roślinną...

Pracowity dzień prokuratora dobiega końca. W notatniku zapisuje jeszcze sprawy do załatwienia w najbliższych dniach. Trzeba skontrolować posterunki Milicji Obywatelskiej, są sprawy w sądzie...

Aha! Prokurator Krysik przypomina sobie coś jesz-



Prokurator Krysik pamięta o historii z chlebem, którą przedstawiła mu obywatelka Kiliszek. Wyszedł sprawdzić, czy zaopatrzenie rzeczywiście szwankuje

cze. Podnosi słuchawkę i łączy się z Prezydium Powiatowej Rady Narodowej.

— Słuchajcie, jak tam wygląda sprawa Salwina? Zwolniliście już to mieszkanie, zajęte bezprawnie przez Gminną Radę Narodową w Mostówce? Tak? No to świetnie...

* * *

Prokurator Krysik skończył pracę. Nareszcie będzie mógł odpocząć. Chyba że... obudzi go w nocy telefon, zawiadamiający o jakimś nagłym wypadku. Przed tym trudno się ustrzec. Jeśli społeczeństwo poruczyło komuś zaszczytny obowiązek czuwania nad porządkiem publicznym i praworządnością, to w dzień i w nocy trzeba być na posterunku.

Ludowa Temida nie ma bowiem oczu przewiązanych przepaską. Musi dostrzegać wszelkie zło, bezprawie i krzywdę ludzką.

Ludowa Temida sędzi i karze. Ale przede wszystkim spełnia inne, szczególne zadanie. Wychowuje ona ludzi, czyni z nich pożytecznych członków społeczeństwa.

Kiedy mówię, że nie mam mleka, to nie mam i kwita — upiera się ob. Malinowski. A zboże odstawię w terminie...



PIEŚŃ W PLECAKU

BOLESŁAW ĆWIECIŃSKI

8 bm. zakończył się w Warszawie 3-dniowy II Ogólnowojskowy Przegląd Amatorskich Zespołów Artystycznych. Przegląd na szczeblu centralnym, w którym wzięło udział około 1500 osób, poprzedziły eliminacje setek zespołów chórów, tanecznych, recytatorskich i muzycznych we wszystkich jednostkach i garnizonach Wojska Polskiego.

Nagrodę przechodnią Marszałka Polski, Konstantego Rokossowskiego, oraz I miejsce zdobył zespół Bydgoskiego Okręgu Wojskowego. II nagrodę przyznano zespołowi Krakowskiego Okręgu Wojskowego, III — zespołowi Marynarki Wojennej. Następne miejsca zajęły — zespół Warszawskiego Okręgu Wojskowego, zespół Instytucji Centralnych MON, zespół Wrocławskiego O. W. oraz zespół Wojsk Lotniczych. Wręczenia nagród dokonał Wiceminister Obrony Narodowej, gen. broni St. Popiawski.

Uzbrojeniem naszego wojska jest także pieśń, żywe słowo, muzyka i taniec — to stwierdzenie w przemówieniu przed II Przeglądem było żywo ilustrowane w różnorodnym repertuarze, z którym przybyły do Warszawy artystyczne zespoły wojskowe. Główną bowiem cechą amatorskiej twórczości w wojsku jest jej związek z codziennym życiem i trudami żołnierzy. Każdy zespół prezentował liczne pozycje, których treść poświęcona była sprawom wychowania politycznego, wyszkolenia bojowego, dyscypliny wojskowej, braterstwu broni z Armią Radziecką czy też wojskowemu koleżeństwu.

Wychowawcze oddziaływanie amatorskiej twórczości w wojsku jest tym cenniejsze, że rozporządza już ono poważną skalą form artystycznych od inscenizacji, przedstawiających życie żołnierskie i walki na froncie, poprzez własne wiersze żołnierzy i oficerów, aż do wesołych piosenek, kupletów czy satyrycznych fra szek.

Codzienna praca kulturalna w wojsku jest szczególnie uważana na każdy przejaw artystycznych zamiłowań i skłonności żołnierza, który w Ludowym Wojsku znajduje dobre warunki dla rozwoju swego talentu. Wyraźne założenia wychowawcze w wojsku sprzyjają rozwojowi samorodnych żołnierskich talentów, czego najlepszym dowodem były na II Przeglądzie liczne własne pozycje poetyckie i muzyczne.

Oto parę przykładów z pracy kulturalnej w okręgu bydgoskim. Plutonowy Kulik, wzorowy artylerzysta, zwrócił na

siebie uwagę biorąc udział w konkursie literackim, zorganizowanym przed rokiem przez Okręgowy Dom Oficera. Dzięki zachęce i pomocy instruktorów okazanej na specjalnym kursie szkoleniowym w Bydgoszczy, po powrocie do swej baterii zorganizował zespół artystyczny. Plutonowy Kulik jest autorem tekstu zgrabnej inscenizacji, która otrzymała w Warszawie specjalną nagrodę.

Szeregowiec Regliński niewątpliwie zostanie w przyszłości śpiewakiem. Jego piękny materiał głosowy odkryty został właśnie w wojsku. Organizator pracy kulturalno-oświatowej na terenie szpitala wojskowego w Toruniu, ob. Eugenia Rissnerowa, opowiada, że kiedy Regliński zaśpiewał — niechętnie zresztą — po raz pierwszy swoim głębokim basem na wieczornicy świetlicowej, zrobiło się cicho z wrażenia. Było to parę miesięcy przed II Przeglądem. W Warszawie Regliński śpiewał „kołysankę murzyńską” — tu nagrodzoną burzą oklasków. Szeregowemu Reglińskiemu zapewniona zostaje obecnie stała nauka i opieka artystyczna. Płk. Dobrusin ma zresztą dobre doświadczenia opieki nad talentami. Wie o tym między innymi znany radiosłuchaczom bas-baryton Bernard Ładysz, będzie o tym wiedział bas Roman Regliński.

Wymienione przykłady wyraźnie charakteryzują kierunek i wyniki pracy w wojsku nad kulturalnym wzbogacaniem się żołnierza. Można by było jednak przytoczyć jeszcze mnóstwo przykładów i nazwisk z innych okręgów, gdzie wzorowi artylerzyści, saperzy, piloci, marynarze czy czołgiści stale rozwijają swe

zdolności i są zaawansowanymi artystami-amatorami.

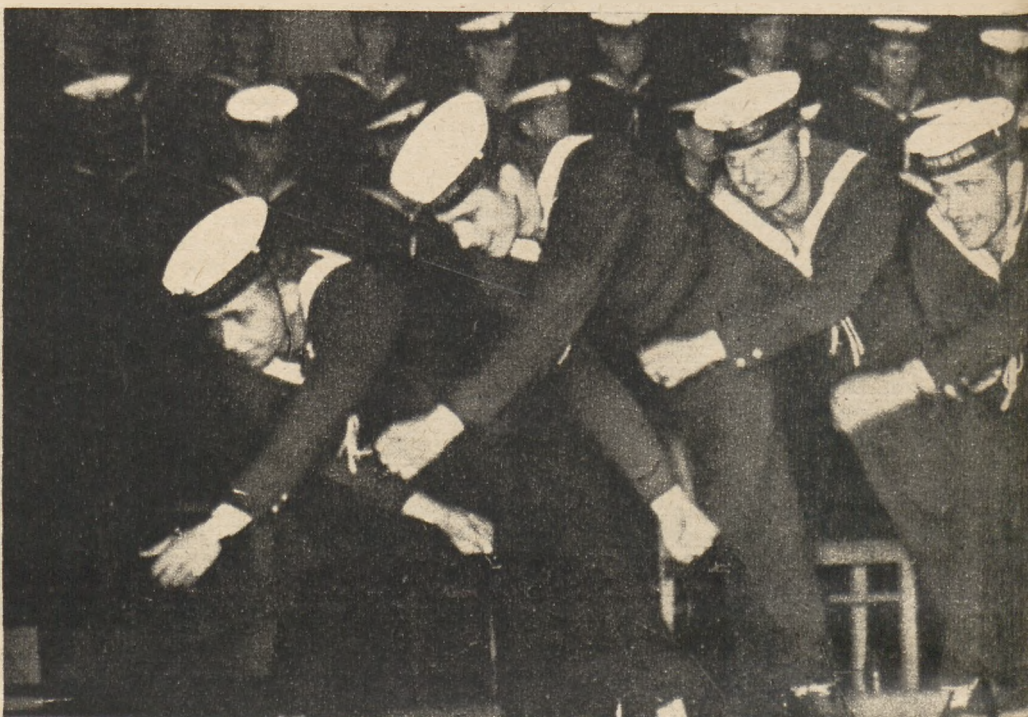
Obserwując na przeglądzie wszystkie zespoły, stwierdzić można było również, że powszechnym zjawiskiem w wojskowych zespołach jest chęć uprawiania tańca regionalnego. Zespoły taneczne najczęściej prezentowały tańce regionów, w których stacjonują. Jest to wynikiem częstych kontaktów zespołów wojskowych z artystycznymi zespołami robotniczymi, wiejskimi i młodzieżowymi.

Niedawno oglądaliśmy w Warszawie tańce ludowe ze wszystkich regionów na Festiwalu zorganizowanym przez CRZZ i ZG ZMP. Dlatego w repertuarze zespołów wojskowych na szczególnie podkreś-

Zdjęcia: WIESŁAW PRAŻUCH

lenie zasługują dwa tańce, których w Warszawie dotąd nie widzieliśmy, a mianowicie taniec rzeszowski „Powolnik” — w układzie Alicji Preissowej, wykonany przez zespół taneczny O.W. Kraków, oraz taniec warmiński w układzie ob. Marii Tomas w wykonaniu podchorążych Oficerskiej Szkoły Piechoty O. W. Bydgoszcz.

Podkreślić należy wreszcie wysoki poziom chórów oraz ich właściwie dobrany repertuar. Wszystkie niemal miały w repertuarze „Pieśń Pokoju” Tulikowa. Powszechność tej pięknej i mocnej pieśni jest bez wątpienia wymownym świadectwem atmosfery wychowawczej, w jakiej przez 10 lat wzrasta nasze Ludowe Wojsko.



W repertuarze marynarzy były chóry, muzyka, dowcipne dialogi, a nawet gra na nosie imitująca instrumenty muzyczne... Najpoważniejszym jednak osiągnięciem były tańce marynarskie i kaszubskie, za które przyznano baletowi specjalną nagrodę. Zespół taneczny Marynarki Wojennej powstał przed dwoma laty. Jego kierownikiem jest bos-

LIST OTW

Czcigodny i drogi Panie Julianie!

Czy Pan już widział „Halke” Moniuszki w inscenizacji Leona Schillera? — Jeżeli nie, to czekają Pana chwile wielkiego wzruszenia.

Dziwna była historia tej nieszczęsnej „Halki”, dwukrotnie utopionej, bo i na scenie i przez sprytną cenzurę. Moniuszko zabrał się do pisania jej tuż po roku 1846, tragicznym roku krwawej rabacji chłopskiej na Podhalu. Dziś już przypominano wszystkie starannie przemilczane dokumenty i świadectwa współczesnych i wiadomo, że muzyk nie bez kozery wzięł sobie na librecistę poetę-ludowca Wolskiego, a za tło akcji operowej — podhalańską wieś. Chciał udowodnić współczesnym, że winni rabacji nie są chłopcy i z pewnością największą uwagę widowni pragnął zwrócić na chór górali opowiadających o swej nędzy, a nie na konflikt miłosny w operze, będący tylko fragmentaryczną wykładnią ogólnego, wielkiego konfliktu społecznego tamtych czasów. — Aliści tego rodzaju interpretacja polityczna widowiska nie mogła dogadzać generałom-policmajstrom, zarządzającym osobiście carskimi teatrami w Warszawie. Więc operę „nieznaczenie” przerobiono. Najpierw tańczyła i cieszyła się w niej dobra szlachta, potem dobry lud cieszył się i kłaniał dobrej szlachcie, a Halka — jak ziarno kapary wrzucone dla pikantniejszego smaku do majonezu — była

tylko wariatką, która topiła się gwoli atrakcji P. T. łaskawej publiki. Gruntownie zmieniono samo zakończenie libretta: w ślad za Halką, żeby ratować ją, rzucał się do wody góral Jontek, a za nim panicz Janusz, po czym wspólnie wyciągali mokrego trupa dziewczyny i nad nim podawali sobie ręce do zgody. Sprawa zbratania wsi ze dworem była „najpocziwiej” załatwiona, a Moniuszko?... — Moniuszko wyszedł na zacnego tysona, któremu śniły się jeno te mazury a polonezy i ta scena krańciewa konfusami, dla podniesienia serc nieszkodliwie patriotycznych.

I, Bóg wie, jak długo trwałaby owa tradycyjna mistyfikacja, gdyby Schiller nie zadał sobie trudu — odczytania libretta „Halki” na nowo. Przywracając mu zamierzony przez autorów sens polityczny, przywrócił jednocześnie sens artystyczny i prawdę życia. Z lukrowanej malowanki „Halka” przestoczyła się we wstrząsający dramat, gdzie śmierć zdradzonej przez panicza chłopki jest symbolem ogólniejszego konfliktu, którego rewolucyjne rozwiązanie staje się widomnie nieuniknione.

Leon Schiller, poprzez rekonstrukcję pierwotnej treści opery, związał swoje nazwisko z Moniuszką na zawsze. Chcąc być sprawiedliwym trzeba wszakże dodać, iż wielką pomoc miał w Wolskim. Libretto „Halki”, z punktu widzenia dramatycznego, zbudowane było do-



Wyróżnione zespoły wystąpiły w hali ZS „Gwardia”. Zespołowi Okręgu Wojskowego Kraków przyznano nagrodę za najlepsze wykonanie tańców ludowych.



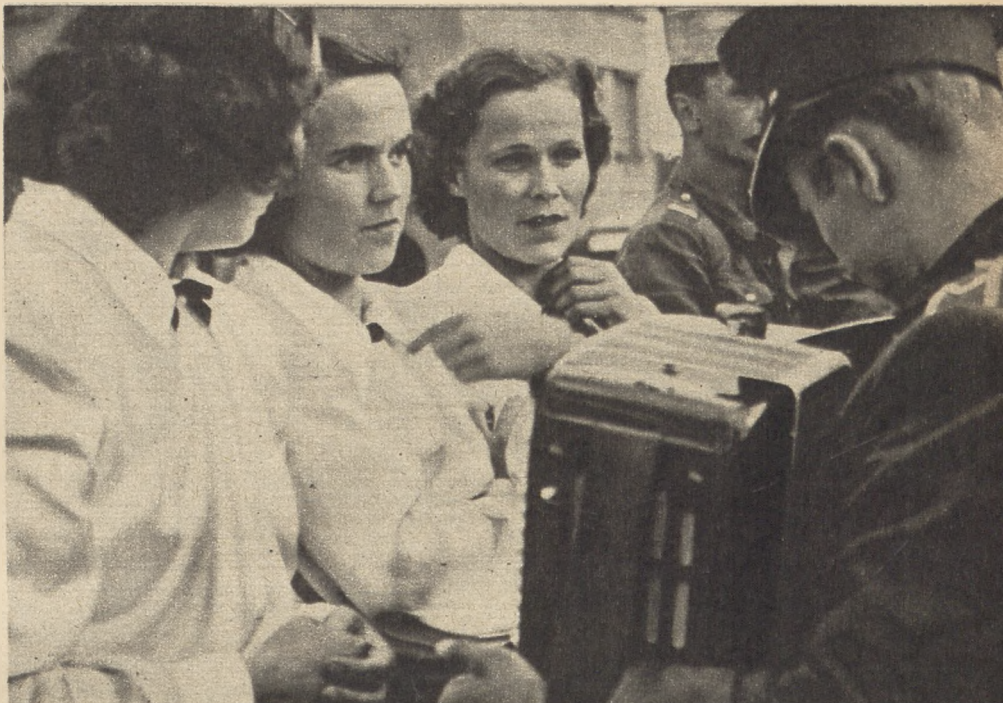
A to jest miła pamiątka z warszawskich popisów Ręglińskiego, który nawet nie myślał, że jest takim śpiewakiem



Zespoły wojskowe wystąpiły przed ludnością Warszawy z siedemnastoma koncertami w większych zakładach pracy oraz na placach stolicy. Uśmiechy tancerzy zespołu O. W. Bydgoszcz są podziękowaniem za oklaski.



manmat Wykusz. Tańczący marynarze występowali już 25 razy w spółdzielniach produkcyjnych, PGR-ach i w zakładach pracy na Wybrzeżu, ciesząc się wszędzie wielkim powodzeniem. Aktywistami pracy kulturalno-oświatowej w zespole są: mat Derengowski, bosmanmat Rzeszutek, st. mar. Siekierski, mat Szklarz, mar. Toska i wielu innych.



Weronika Mironowiczówna śpiewała w zespole „Mazowsze” w Berlinie, Pradze, Moskwie i w Bukareszcie. Nie pojechała jednak do Chin; w 1952 r. wystąpiła z „Mazowsza” i wyszła za mąż za podchorążego Gawdę. Weronika Gawda (druga od lewej) otrzymała obecnie na przeglądzie wojskowych zespołów I nagrodę za śpiew solowy.

ARTY DO JULIANA TUWIMA

skonałe. Akcja toczyła się wartko, bez chwili „przestoju” (otóż i przydał się na coś jeden z wielu biurokratycznych raków językowych!). Konflikt dramatyczny nabrzmiewał prawidłowo i prawidłowo był rozwiązany. — Niestety, nie ze wszystkimi librettami rzecz ma się równie dobrze...

Każdy muzyk zgodzi się pewnie ze mną, że od strony wartości czysto muzycznej — „Halka” nie jest pierwszym dziełem Moniuszki. Bardziej wybitna muzycznie jest z pewnością „Hrabina”, szersza w inwencji i doskonalsza w rzemiośle. Obok znakomych polonezów i polskich pieśni myśliwskich mamy w niej walcę godnego Webera i arię włoską, wartą postawienia obok arii Belliniego czy Donizettiego i — muzykę baletową, której mógłby pozazdrościć Moniuszce późniejszy odeń Delibes. Śliczna ta opera aż musuje od porywistych, ciągle zmiennych rytmów. Niekiedy sięga granic operetki (arietta Dziadziwego w III akcie), innym razem jest sama w sobie satyrą (duet w tempie poloneza, z I aktu). Jeżeli staje się poważna, to raczej tylko jak gdyby zadumana, podobna komuś, kto na balu — w przerwie między dwoma tańcami — zapatrzył się przez okno w zimową noc. Z tym wszystkim „Hrabina”, jako całość, wywodzi się z polskich tradycji muzycznych i przepojona jest do głębi polskością.

Ale miała libretto, chociaż postępowe w satyrycznej treści, to jednak słabe dramaturgicznie, źle zbudowane. I właśnie dlatego — mimo tylu pyszności muzycznych — nie osiągnęła powodzenia innych czołowych oper Moniuszki.

Autorem słabego libretta „Hrabiny” był też Wolski. Ha! Każdemu z nas jedne rzeczy udają się, inne nie, ale przecież nikt nie będzie sądził po tych ostatnich całosci naszego artystycznego dorobku.

Na dygresję powyższą kładę nacisk, gdyż wrócić mi wypadnie i do Schillera, aby stwierdzić także i jego potknięcie. Po wspaniałym opracowaniu „Halki” wziął z kolei na warsztat „Hrabinę”, by owo pełne lekkiego wdzięku arcydzieło przerobić na... misterium wielkopostne.

Założenie miał takie: ze względu na ostrą carską cenzurę autorzy „Hrabiny” nie mogli w jej satyrycznej treści dopowiedzieć wszystkiego, co chcieli. Wobec tego należy zrobić to dzisiaj za nich. Wobec czego dopisał własną ręką do libretta ponad 500 wierszy majestatycznej prozy i rozłożył wdzięczną operę, czy może lepiej rzec — ubrał „Hrabinę” w rewerendę i postawił na kazalnicy, w której to pozie dama owa stała się nudna i niezrozumiała.

Czy stąd wniosek, że libretto Wolskiego nie należy dotykać? — Wręcz przeciwnie! Pomijając ociężałą formę dramaturgiczną, ani wiersze Wolskiego nie

były pierwszej klasy, ani wycucie satyry zbyt świetne. Zmienić, dodać, ujednolicić można tu bardzo wiele, operując wszakże cieniem a precyzyjnym narzędziem satyryka — raczej półśłówkami, niedopowiedzeniami, ukłuciami ledwo widocznymi, a tym głębiej i boleśniej trafiającymi we wroga.

I tu zaczyna się mój właściwy „list otwarty” czy raczej „otwarte wezwanie” do Pana, czcigodny Panie Julianie: Pan jeden może dać wspaniałej „Hrabinie” Moniuszki godne tej opery libretto!

— Dlaczego — obruszy się Pan — właśnie ja?!

Wszystko pomału wytłumaczę...

Po pierwsze: trzeba napisać libretto do już istniejącej muzyki, z której nie wolno ruszyć ani taktu. Zadanie najtrudniejsze w świecie! Więc musi je wziąć na siebie poeta, który w życiu miałby z muzyką już tyle do czynienia, ile właśnie Pan w swoim.

Po drugie: mieć będzie trzeba na porządku sporą ilość niezbędnych w muzyce, a tak nielicznych w języku naszym — rymów męskich. Otóż mogę dać Panu słowo honoru, że wyszpera ich Pan dosyć w swoim worku bez dna, na którym to worku napisano: „Znawstwo rodzimego języka”.

Po trzecie: dając nowe libretto „Hrabinie”, trzeba się będzie wczuć w styl epoki. Żaden z bohaterów opery nie bę-

dzie mógł mówić w żadnym wypadku językiem np. Wiecha, którego we wszystkich innych wypadkach bardzo kochamy. A czyż mam powoływać się aż na Pańskie „Cztery wieki fraszki polskiej”, żeby móc stwierdzić, iż mało kto zna równie dobrze jak Pan wszelkie rozwojowe przemiany naszego słownictwa, zwłaszcza satyrycznego?

Po czwarte: autor nowego libretta „Hrabiny” musi być w ogóle i przede wszystkim znakomitym, twórczym poetą-satyrykiem. Tu nic nie powiem, bo po co mam wyglądać na pochlebce?...

Na każdego Matyska przychodzi wreszcie kryśka. I Pana może to kiedyś spotkać, że stanie Pan przed areopagiem Muz, celem zdania sprawy ze swego życia. Wówczas Melpomene — na myśli mając Pańską „Zemstę nietoperza”, „Słomkowy kapelusz” czy „Porwanie Sabinek” — rzeknie zmarszczona:

— Za mało ważki był twój teatr, Julianie!

Ale niech się Pan tego nie boi! Bo jeśli usłucha Pan niniejszego wezwania, to zza chmurki wysunie się Moniuszko, poprawi okulary, jak to miał we zwyczaj, i szepnie:

— Przepraszam! A nowe libretto do mojej „Hrabiny”?...

Kreślę się, czcigodny Panie Julianie, z głęboką nadzieją.

JERZY WALDORFF

PUŁAPKA

STEFAN ARSKI

PO CZECHOSŁOWACJI przyszła kolej na Polskę*).

W kilka zaledwie tygodni po Monachium, bo już 18 października 1938 r., Ribbentrop wezwał do siebie ambasadora Lipskiego i oświadczył mu krótko i węzłowo: „Gdańsk zawsze był, jest i będzie niemiecki”. Po czym zażądał zgody na włączenie Gdańska do Rzeszy i na przyznanie Niemcom eksterytorialnej autostrady i linii kolejowej przez polskie Pomorze. Było rzeczą jasną, że Hitler zamierza teraz rozprawić się z Polską.

W hitlerowskim słowniku agresji akcja przeciwko Polsce określana była terminem „Operacja Biała” (Fall Weiss). Łączyła się ona ściśle z załatwieniem sprawy czeskiej. Generał Jodl tak określał związek między tymi dwoma operacjami:

„Bezkrwawe rozwiązanie konfliktu czeskiego jesienią 1938 roku i na wiosnę roku 1939, tudzież aneksja Słowacji zaokrągliły terytorium Rzeszy w taki sposób, że stało się teraz możliwe rozwiązanie problemu polskiego z dogodnych pozycji strategicznych”.

Jedyni ludzie na świecie, którzy zachowali się tak, jakby tego nie dostrzegali — to byli władcy ówczesnej Polski. Czynili też wszystko, by oszukać społeczeństwo polskie. Wiadomość o żądaniach Hitlera jest skrzętnie zatajana przez rząd Becka i Rydza Śmigłego. Opinia polska dowie się o nich dopiero po pół roku — w kwietniu 1939 roku, gdy Hitler obwieścił je w publicznym przemówieniu. Do tego czasu rząd sanacyjny milczy jak zakłęty. Co więcej: okłamuje wręcz Polskę i cały świat. I, oczywiście, kontynuuje swą politykę zdrady narodowej.

5 stycznia 1939 roku Beck odwiedza Hitlera w Berchtesgaden.

Beck osobiście gotów był zgodzić się na żądania Niemiec. Wszak już w grudniu roku 1938, gdy sprawa ta była omawiana w polskim Ministerstwie Spraw Zagranicznych i ambasador polski w Waszyngtonie, Potocki, radził pójść na ugodę z Berlinem, „Beck — jak pisze w swym dzienniku Szembek — przystał na ten punkt widzenia i stwierdził, że w zasadzie nie jest przeciwnikiem takiej autostrady”. Dał też Hitlerowi do zrozumienia, że wziętyby na siebie realizację jego żądań, gdyby mu zapewniono jakiś ekwiwalent.

Nie trudno się domyśleć, o jaki ekwiwalent tu chodzi: Beck oddałby Gdańsk i Pomorze za jakiś strzep łupu na wschodzie.

Hitler nie jest już jednak skłonny do udzielania jakichś konkretnych przyrzeczeń. Od roku 1934, gdy podpisywał pakt z Piłsudskim, pozycja jego w Europie wzmoocniła się nieporównanie, między innymi — dzięki polityce piłsudczyzny.

Ponadto wywiad niemiecki spenetrował już gruntownie siły obronne Polski, jej potencjał przemysłowy i armię. Macki hitlerowskie sięgały do najwyższych ogniw polskiego sztabu głównego. Hitler znał siłę obronną sanacyjnego państwa i nie miał co do niej żadnych złudzeń. Uważał, że teraz, zwłaszcza po rozbiórce Czechosłowacji, Polska leży bezbronna u jego stóp i musi spełnić każde jego żądanie. Beck zaś powinien wykonać zlecenie bez ociągania się.

Beck jednak czuje, że dalsze odgrywanie roli „instrumentu Berlina” wymaga subtelniejszych metod postępowania. Zdaje sobie sprawę, że gdyby otwarcie przychylił się do żądań Hitlera — kraj odpowiedziałby wybuchem protestu, którego nawet sanacyjna pięść nie byłaby w stanie stłumić. Próbuje więc grać na zwłokę. Po ostateczną odpowiedź w sprawie Gdańska i auto-

strady zgłosił się Ribbentrop do Warszawy w końcu stycznia 1939 r.

A tymczasem wizyta Becka w Berchtesgaden przedstawiana jest w prasie sanacyjnej jako wielki triumf Polski. Dyplomacja zaś pana Becka oświeśla ją równie oszukańczo za granicą.

Jednakże, mimo wszystkie wysiłki załganej propagandy, prawda o żądaniach hitlerowskich w stosunku do Polski przecieka na zewnątrz.

Toteż kiedy równocześnie w połowie marca 1939 roku Hitler wbrew najuroczystszym zobowiązaniom zagarnia szczątki Czechosłowacji — światowa opinia publiczna wybuchła donośnym protestem i wołaniem o natychmiastową akcję w obronie pokoju i bezpieczeństwa narodów. Nacisk opinii publicznej w Polsce staje się tak silny, że Beck i Rydz-Śmigły nie mają odwagi otwarcie przyjąć żądań Hitlera. Ambasador niemiecki w Warszawie, von Moltke, informuje Berlin o nastrojach w Polsce. Hitler wczuwa się w trudną sytuację swego warszawskiego „instrumentu”. Postanawia mu więc ułatwić zadanie. Dnia 25 marca, w tydzień po zajęciu Pragi, Hitler wzywa do siebie naczelnego dowódcę Wehrmachtu, generała von Keitla, i udziela mu następujących wyjaśnień na temat sprawy polskiej:

„26 marca wróci z Warszawy ambasador Lipski. Miał on polecenie zbadać, czy rząd polski gotów jest przyjąć warunki niemieckie odnośnie Gdańska. Rozmowy z Lipskim przeprowadzi najpierw Ribbentrop. Fuehrer wolałby uniknąć rozstrzygnięcia sprawy gdańskiej drogą użycia siły. Wojskowa okupacja Gdańska ma być przedsięwzięciem jedynie wtedy, gdy Lipski da do zrozumienia, że rząd polski nie jest w stanie uznać na siebie odpowiedzialności wobec własnego społeczeństwa za dobrowolne odstąpienie Gdańska i że ułatwiłoby mu decyzję — zastosowanie przez Niemców „fait accompli” (faktu dokonanego)”.

Jak widać, Hitler gotów był pójść na rękę swym warszawskim marionetkom, by ułatwić im „powzięcie decyzji”, a raczej wcielenie w życie decyzji powziętej przez niego. Troskliwość Hitlera nie zdała się jednak na nic. Mimo proponowanych przez Hitlera „ułatwień”, Beck i Rydz nie mają odwagi wziąć na siebie straszliwej odpowiedzialności. Nacisk opinii polskiej wzmacnia się tak gwałtownie, że wymusza wreszcie z Becka zakłamanie przemówienie z dnia 5 maja 1939 roku, w którym formalnie odmawia zgody na aneksję Gdańska przez Rzeszę i na przyznanie jej eksterytorialnej autostrady przez Pomorze.

Ale mowa Becka jest zwykłym oszustwem. W niespełna trzy tygodnie później wiceminister spraw zagranicznych, Arciszewski, w zaufaniu tłumaczy ambasadorowi von Moltke, że nie powinien zbyt dosłownie traktować deklaracji Becka. Moltke podaje w swym raporcie:

„Pan Arciszewski wyraźnie starał się udowodnić, że zmiana stanowiska Polski nie nastąpiła z inicjatywy Becka. Cała ta polityka jest sprzeczna z jego wolą. Beck uważa, że publiczna dyskusja na temat żądań niemieckich jest niepożądana ze względu na obecne nastroje w Polsce. Odkładał ją też, jak długo mógł, aż zmusiła go do zajęcia stanowiska ostatnia mowa kanclerza. Odpowiadając kanclerzowi w Sejmie, Beck nie mógł uniknąć obrony polityki, która nie jest jego polityką. A odźwięk, z jakim jego mowa spotkała się w opinii, doprowadził go wręcz do rozpacz. Pan Arciszewski w dramatyczny sposób opisuje, jak pan Beck, nazajutrz po swej mowie, w przystępie wściekłości rzucił do kosza plik depesz gratulacyjnych. Pan Beck nadal jest zwolennikiem dotychczasowej polityki”.

Oto klasyczny przykład, gdy „język kłamie głosi, a głos myślim kłamie”. Tak właśnie postępował pan Beck. A jego szanowni koledzy na Zachodzie? Tak samo, dokładnie tak samo.

Gdy już nie było sposobu na wykręcenie się przed własną opinią publiczną, rządy zachodnie przystąpiły wreszcie do rokowań ze Związkiem Radzieckim. Była to jednak tylko gra.

Rząd radziecki wysunął projekt, by Anglia, Francja i ZSRR zawarły pakt wzajemnej pomocy przeciwko agresji, by wspólnie udzieliły gwarancji państwom środkowej i wschodniej Europy oraz wszystkim państwom sąsiadującym z ZSRR, by — wreszcie — zawarły konkretny układ wojskowy na wypadek agresji, celem udzielenia natychmiastowej pomocy ofierze hitlerowskiej napaści.

Te proste, jasne i skuteczne projekty obrony pokoju i bezpieczeństwa narodów stały się przedmiotem długotrwałej, wykrętnej, oszukańczej gry ze strony dyplomacji anglo-francuskiej.

Dość powiedzieć, że rokowania przeciągnęły się bez mała cztery miesiące. Ze strony Anglii i Francji prowadzili je drugorzędni dyplomaci, w dodatku pozbawieni pełnomocnictw. Nie było wątpliwości, że rokowania są po prostu sabotowane przez rządy zachodnie.

Ułatwiał ten sabotaż w dużej mierze Beck, choć było rzeczą najbardziej oczywistą, że właśnie bezpieczeństwo Polski wymaga jak najszybszego zawarcia paktu wzajemnej pomocy z udziałem ZSRR. Tylko ZSRR mógł przyjąć Polskę z rzeczywistą, skuteczną, szybką pomocą w razie hitlerowskiej agresji. Potwierdziły to w pełni wydarzenia dni i lat następnych.

Sobotowanie rokowań ze Związkiem Radzieckim było tak oczywiste, że nawet niektórzy mniej zaślepieni politycy zachodni stwierdzili to publicznie. Byli premier brytyjski, Lloyd George, oświadczył 25 lipca w parlamencie:

„Lord Halifax złożył Hitlerowi i Goeringowi wizytę. Chamberlain trzykrotnie padał fuehrerowi w objęcia. Udał się sam do Rzymu, by uściskać Mussoliniego i zaofiarować mu osobiście oficjalne uznanie zaboru Abisynii, jak również zapewnić go, że nie będziemy go niepokoić z powodu inwazji w Hiszpanii.”

„Dlaczegoż więc wysyłamy drugorzędnego dyplomata, by nas reprezentował wobec nieporównanie potężniejszego kraju, który zaofiarował nam swą pomoc?”

„Na to pytanie jest tylko jedna odpowiedź: Pan Neville Chamberlain, lord Halifax i sir John Simon nie życzą sobie żadnego porozumienia z Rosją”.

Lloyd George miał zupełną rację. Rządy Francji i Anglii życzyły sobie tylko jednego: porozumienia z Hitlerem przeciwko ZSRR.

Dobrze sobie z tego zdawali sprawę hitlerowcy. Gdy Anglicy wysłali do Moskwy z kolei misję wojskową, ambasador Dirksen donosił z Londynu w dniu 29 lipca 1939 roku:

„Dalsze rokowania o pakt z Rosją, mimo wysłania misji wojskowej — lub właśnie dlatego — oceniane są tu sceptycznie. Świadczy o tym skład angielskiej misji wojskowej: admirał, dotychczasowy komendant Portsmouthu, faktycznie jest na emeryturze i nigdy nie był w sztabie admiralicji; generał jest również zwykłym oficerem frontowym; generał lotnictwa — to wybitny lotnik i nauczyciel lotnictwa, ale nie strateg”.

Ci trzej figuranci, wydobyli z lamusa, nie mieli żadnych pełnomocnictw do podpisywania wiążącej umowy. A gdy przyszło do szczegółowej dyskusji, w której rząd radziecki oświadczył, że gotów jest rzucić na front przeciwko agresorowi 136 dywizji, 5 000 dział, 10 000 czołgów



Najpierw ich zapraszano — później we wrześniu 1939 roku przybyli już bez zaproszenia. Po lewej — wizyta oficerów hitlerowskiej marynarki wojennej (kto wie, może któryś z nich kierował później bombardowaniem Westerplatte?) na Zamku w Warszawie. Po prawej — hitlerowcy zwiedzają Centrum Wyszczolenia Kawalerii w Grudziądzu.

* Por. artykuł pt. „Monachium” w Nr 32 i 33 „Świata”.



Obietnic lorda Halifaxa nikt (poza Beckiem!) nie traktował poważnie. A kiedy nadeszła godzina próby, naród nasz płacił za sanacyjnych polityków: we wrześniu 1939 roku byliśmy sami wobec najazdu hitlerowskiego.

i ponad 5 000 samolotów — Anglicy wykrztusili, że może wystawią 5 dywizji piechoty i jedną dywizję zmotoryzowaną. Zakrawało to już nie na komedię, ale na ponurą farsę.

Nie na tym jednak koniec. Pomoc radziecka tylko wówczas mogła być skuteczna, gdyby wojska radzieckie jak najszybciej weszły w kontakt bojowy z wojskami agresora. To zaś wymagało, by Armia Czerwona miała możliwość przejścia przez terytoria krajów ościennych, zagrożonych hitlerowskim najazdem. I oto powstała paradoksalna sytuacja: sojusznikowi, który miał spieszyć z pomocą napadniętym ofiarom Hitlera, wzbraniało przemarszu przez zagrożone tereny. Polska, Rumunia, Litwa, Estonia — za wiedzą i aprobatą rządu brytyjskiego — kategorycznie odmawiały zgody na propozycje radzieckie. Więcej. W chwili, gdy nacisk Hitlera na Polskę zbliżał się już do punktu kulminacyjnego — 19 sierpnia 1939 roku — Beck oświadczył:

„To jest dla nas kwestia zasadnicza: nie mamy i nie chcemy mieć żadnej umowy wojskowej z ZSRR”.

W kilka dni później — jak notuje w swym pamiętniku ówczesny premier generał Sładkowski — „jeszcze raz musieliśmy(!) odmówić... propozycji przemarszu wojsk sowieckich dla ratowania Polski od najazdu Niemców”.

Zdrada czy głupota? I jedno i drugie. Ślepa nienawiść do Związku Radzieckiego i pragnienie spowodowania za wszelką cenę wojny interwencyjnej mocarstw kapitalistycznych przeciwko ZSRR szły tu w parze z niepojętym wprost lekceważeniem potęgi militarnej Hitlera i śmiesznym wręcz przecenieniem sił własnych. W prasie sanacyjnej roi się od bajeczek o „drewnianych czołgach” niemieckich, o nieustannym psuciu się silników niemieckich pojazdów mechanicznych podczas Anschlusu i zaboru Czech, o niedoborze wyćwiczonych rekrutów w armii niemieckiej, o katastrofie przemysłu niemieckiego, itd. itd. Ale bujdy prasowe można by ostatecznie potraktować jak głupawą propagandę dla „podtrzymania ducha”, gdyby te same brednie nie były powtarzane na serio w najwyższych kołach wojskowopolitycznych sanacji.

Szef sztabu głównego, gen. Stachiewicz, w kwietniu 1939 roku w rozmowie z wiceministrem Szembekiem rysuje taki oto obraz sytuacji:

„Generał sądzi, że Niemcy nie są przygotowane do wojny, rozumując więc logicznie nie powinniśmy wierzyć w możliwość konfliktu”. Poglądy generała Sosnkowskiego na tę sprawę już znamy. Były równie nonsensowne. A oto opinia jeszcze jednego „rzeczoznawcy”, wysoko postawionego w hierarchii wojskowej, generała Litwinowicza. W maju 1939 roku ten geniusz wojskowy zapewniał z kolei Szembeka:

„Słabość Niemiec polega na tym, że nie zdołali oni wyćwiczyć czterdziestu roczników rezerwy... Pierwszy okres wojny może być dla nas ciężki... ale ostateczny wynik konfliktu jest niewątpliwy”.

Panowie generałowie mieli znakomitą orientację. Pod jej wpływem kształtowały się poglądy sanacyjnych „mężów stanu”. Wiceminister Szembek w połowie czerwca zapewnia posła węgierskiego, że Niemcy „nie ośmielią się na akt agresji wobec nas, bo zdają sobie sprawę z potęgi, jaką reprezentuje Polska”.

Beck też jest bardzo pewny siebie. „Naszą sytuację wojskową — notuje Szembek pod datą 21 lipca 1939 roku — Beck ocenił jako dobrą”. Dyplomaci pana Becka są więc bardzo dufni. „Liczymy przede wszystkim na własne siły” — oświadcza stanowczo ambasador Orłowski regentowi Węgier, Horthy'emu.

Wszystkie rekordy bije pułkownik Koc. Ten niefortunny wódz OZON-u okazuje się równie błyskotliwym strategiem i politykiem. Na wieść o gwarancji brytyjskiej dla Polski oddycha z ulgą: imperium brytyjskie jest uratowane!

„O ile Wielka Brytania poprze nas swą potęgą morską i powietrzną, o tyle my ze swej strony dajemy naszą wielką armię lądową, która stanowić będzie kolosalną pomoc dla imperium brytyjskiego”. (Cytujemy dosłownie za dziennikiem wiceministra Szembeka, podkr. nasze).

Wystarczy?

NOWE DZIELNICE W STAREJ BRATYSŁAWIE

DO niedawna Słowacja była jednym z najbardziej zacofanych krajów Europy. Stąd wywodził się „słowacki druciarz” — nędzarz, wędrujący latami po obczyźnie i mający w tobołku swój cały dobytek. W ciągu dwudziestu lat przedmonachijskiej burżuazyjnej Republiki Czechosłowackiej wywędrowało ze Słowacji za chlebem ok. 180.000 ludzi. Dziś nowym życiem tętni cała Słowacja — a wraz z nią jej stolica Bratysława. To naddunajskie miasto przeżywa teraz okres szybkiego rozwoju — od roku 1948 wybudowano tam 4.046 nowych mieszkań i szereg nowych budynków biurowych. W tym roku przybędzie miastu pół tysiąca nowych mieszkań. Stale ulepsza się komunikację miejską. Po latach nędzy i zacofania Bratysława wstąpiła na nową drogę, która przemieni ją w miasto prawdziwie socjalistyczne, dające swym mieszkańcom maksimum wygodnego życia, miasto o szerokich domach i widnych mieszkaniach, miasto umiejętnie wplecione w zieleń.

ZDJĘCIA: C.O.I.



U stóp zalesionych wzgórz powstają nowe, dwurodzinne wille dla bratysławskich robotników i urzędników.



Nowe bratysławskie osiedla mieszkaniowe (na zdjęciu: ulica Vuka Karadžica) wybudowane zostały z myślą o zapewnieniu robotnikom pełnego komfortu. Mieszkaniu wyposażone są we wszystkie nowoczesne urządzenia.



Wyższa Szkoła Techniczna i urząd pocztowy otrzymały nowe siedziby w budynkach na placu Gottwalda.



Robotnik Jeróbek otrzymał w nowo wybudowanym domu w Bratysławie wygodne i przestronne mieszkanie.

Nowa Słowacja szybko odrabia wiekowe zaniedbania, usuwa ślady panowania węgierskich magnatów i czeskiej burżuazji. Ta nowa dzielnica w Bratysławie też jest znamiem drogi postępu, na którą wstąpił lud słowacki.





U góry: ładowanie nawozów sztucznych na samolot typu CSS-13 na lądowisku polowym. Poniżej: zmechanizowany system załadunku proszków owadobójczych na ciężki samolot Li-2, stosowany do opylania wielkich terenów leśnych. Pracownicy zatrudnieni przy ładowaniu proszków wyposażeni są w ochronne kombinezony, rękawice, buty oraz maski pyłochłonne. Znajdują się oni pod stałą i staranną opieką lekarską i posiadają na lądowisku apteczkę ze środkami przeciw zatruciu.



SWIT. Na małej łączce nad rzeką rozpoczął się ruch. Wokół nieruchomych samolotów uwijają się szare postacie ubrane w kombinezony, gumowe buty i maski pyłochłonne. Pobliską drogą połą posuwa się sznur ciężarówek i cystern z benzyną. Wprawne ręce obsługi naziemnej chwytają worki z proszkiem owadobójczym i wysypują je do zbiorników samolotowych. Mechanicy napełniają baki benzyną, ostatnim rzutem oka sprawdzają motory, aby potem na wolnych obrotach zagrzewać wychłodzony w ciągu nocy silnik.

Nie opodal grupka pilotów, pochylonych nad szkicem, wysłuchuje ostatnich poleceń dowódcy eskadry oraz słów agrotechnika, który objaśnia położenie pól ziemniaczanych, zwraca uwagę na pojedyncze drzewa i wzniesienia terenu. Jeszcze raz następuje badanie kierunku i siły wiatru, pada krótki rozkaz i piloci rozbiegają się do maszyn. Motory grają na pełnym gazie. Startują najpierw dwie, a potem trzy maszyny i znikają w blasku ukazującego się nad lasem słońca.

• • •
Pierwsze udane próby zastosowania samolotów do rozpryskiwania płynów owadobójczych poczyniono w roku 1922 w Związku Radzieckim. W latach 1925—26, kiedy na zachodzie Europy było jeszcze głucho w tej dziedzinie, Związek Radziecki zaczął stosować samoloty do walki z szarańczą, odwieczną klęską półpustynnych przestrzeni środkowej Azji i południowo-wschodnich obszarów Rosji europejskiej. Skuteczność tej metody zachęciła do szerszego stosowania samolotów w rolnictwie. Obecnie w Związku Radzieckim zastosowanie lotnictwa do obsługi najrozmaitszych dziedzin gospodarki rolnej i leśnej stało się tak powszechne, że żaden kolchoz czy gospodarstwo państwowe, dbające o wysoką wydajność produkcji rolnej i należytą walkę ze szkodnikami, nie zaniedba zastosowania samolotów.

A u nas? Nie mamy jeszcze długoletnich tradycji stosowania samolotów w rolnictwie, ale każdy rok przynosi nowe doświadczenia i nowe sukcesy.

Najwcześniej zaczęto u nas stosować samolot do opylania lasów.

Technika opylania lasów i pól nie jest skomplikowana. Istotną jest rzeczą, aby lądowiska samolotów znajdowały się jak najbliżej terenu operacyjnego, gdyż skraca to czas akcji i znacznie obniża jej koszt. Lądowiska nie muszą być zbyt duże: samoloty typu CSS-13 (Kukuruznik) oraz Piper, najczęściej stosowane do opylania, wymagają pola startowego o rozmiarach 400x200 metrów lub nawet mniejszych. I nie musi to być lotnisko specjalnie urządzone — wystarczy byle ugor, pastwisko, łąka, może być kawałek niezaoranego pola lub rzyśko, wreszcie równy odcinek drogi polnej, oczywiście nie obsadzonej drzewami. Tylko ciężkie samoloty Li-2, używane do opylania wielkich obszarów leśnych, wymagają lotniska typu komunikacyjnego. Zabierają one jednak za jednym razem kilka ton środka owadobójczego.

Naloty na tereny opylania mogą wykonywać pojedyncze samoloty lub też grupy 2—4 maszyn. Przy nalocie grupowym każdy następny samolot leci w odległości równej szerokości rozpylonej smugi od toru poprzednika; no i zawsze od strony wiatru, by nie dostać się w smugę poprzedniego samolotu...

Akcja opylania nie może się odbywać w czasie deszczu. Wymagane jest też spokojne powietrze lub bardzo słaby wiatr.

Istnieje jeszcze jedna przeszkoda, której muszą lotnicy unikać. Występujące w atmosferze pionowe ruchy powietrza (ceńione bardzo przez szybowników) mogłyby rozpylony środek owadobójczy unieść w górę i rzucić nie tam, gdzie trzeba. Dlatego najbardziej stosownym czasem do opylania są godziny od świtu do 6 rano oraz od 18 do zmroku. W tych porach dnia pionowe ruchy powietrza ku górze albo jeszcze nie występują, albo są bardzo słabe.

Gdy wypada opylć większe obszary — ładowanie proszku na samolot odbywa się za pomocą samochodów z dźwigiem. Na dźwigu znajduje się zbiornik o pojemności nieco większej niż zbiornik na samolocie. Ładowanie wygląda wtedy tak: samolot ląduje i zatrzymuje się, samochód podejżdża do maszyny, pilot ustawia dolny otwór zbiornika załadowniczego nad otworem zbiornika w samolocie i otwiera przepustnicę; proszek zsypuje się samoczynnie. Samochód wycofuje się, pilot zapuszcza silnik i startuje. Cała ta operacja trwa niespełna 1 minutę!

W roku bieżącym w całym kraju, a szczególnie w województwach zachodnich, w niszczeniu stonki na polach, zaatakowanych przez tego szkodnika, poważny udział biorą samoloty. Skuteczność ich jest ogromna — zwłaszcza wtedy, gdy stonka atakuje duże obszary upraw.

Myliłby się ten, kto by sądził, że zastosowanie samolotów jako nowoczesnej maszyny rolniczej ogranicza się jedynie do akcji przeciwskłodnikowej. W większych zespołach rolnych samoloty są coraz częściej używane do rozsiewania nawozów sztucznych. Jeden samolot może przeciętnie wykonać pracę 45 robotników rolnych, przy czym jakość tej pracy z reguły przewyższa rozsiewanie ręczne.

Powracające są w tej dziedzinie doświadczenia zespołu PGR Machnów w woj. lu-

belskim, gdzie samoloty PLL „Lot“ wiosną br. rozpyliły nawozy sztuczne na obszarze 4 tysięcy hektarów. Dwa samoloty w ciągu pierwszych 9 godzin pracy rozpyliły nawozy na obszarze 513 hektarów. Kontrola jakości wykazała, że nawozy sztuczne ułożyły się bardzo równomierną warstwą, która byłaby nieosiągalna przy zastosowaniu pracy ręcznej lub siewników.

Pełna lista zastosowań samolotu w rolnictwie, hodowli i leśnictwie byłaby bardzo długa. Dlatego ograniczymy się do podania jeszcze kilku typowych przykładów.

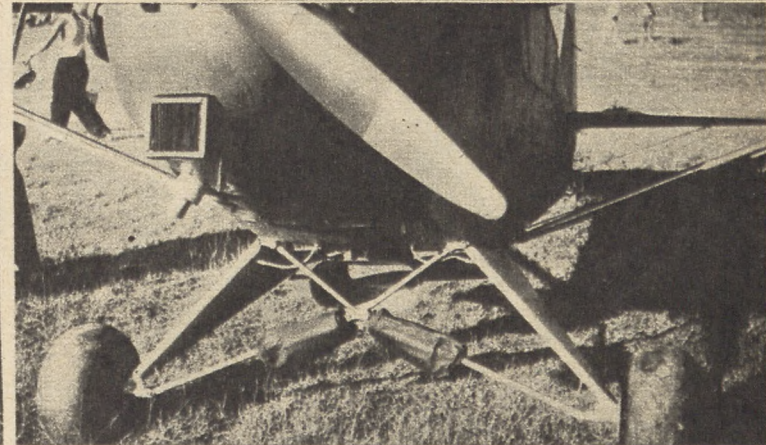
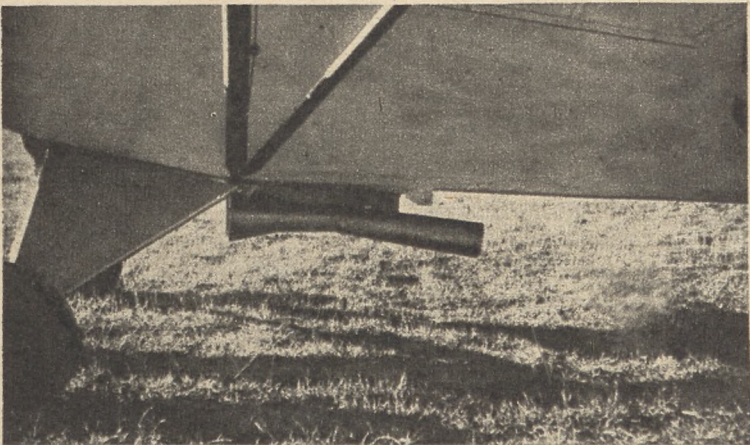
Statystyki wykazały, że przy przewożeniu rasowych piskląt do ferm hodowlanych śmiertelność ich wynosi 50—60%. Przy zastosowaniu samolotu spada niemal do zera.

Samolot jest najdoskonalszym środkiem służby przeciwpożarowej w leśnictwie. Samolot jest najwygodniejszy przy wyznaczaniu drzewostanu do wyrębu. Samolot w służbie meteorologicznej najszybciej i najpewniej informuje o nagłych zmianach pogody, co ma duże znaczenie dla rolnictwa.

Racjonalne wykorzystanie samolotu w rolnictwie jest możliwe jedynie w warunkach wielkiej gospodarki rolnej, spółdzielczej lub państwowej. Dlatego w miarę przekształcania się naszej wsi wzrośnie zastosowanie tej najnowocześniejszej maszyny rolniczej.



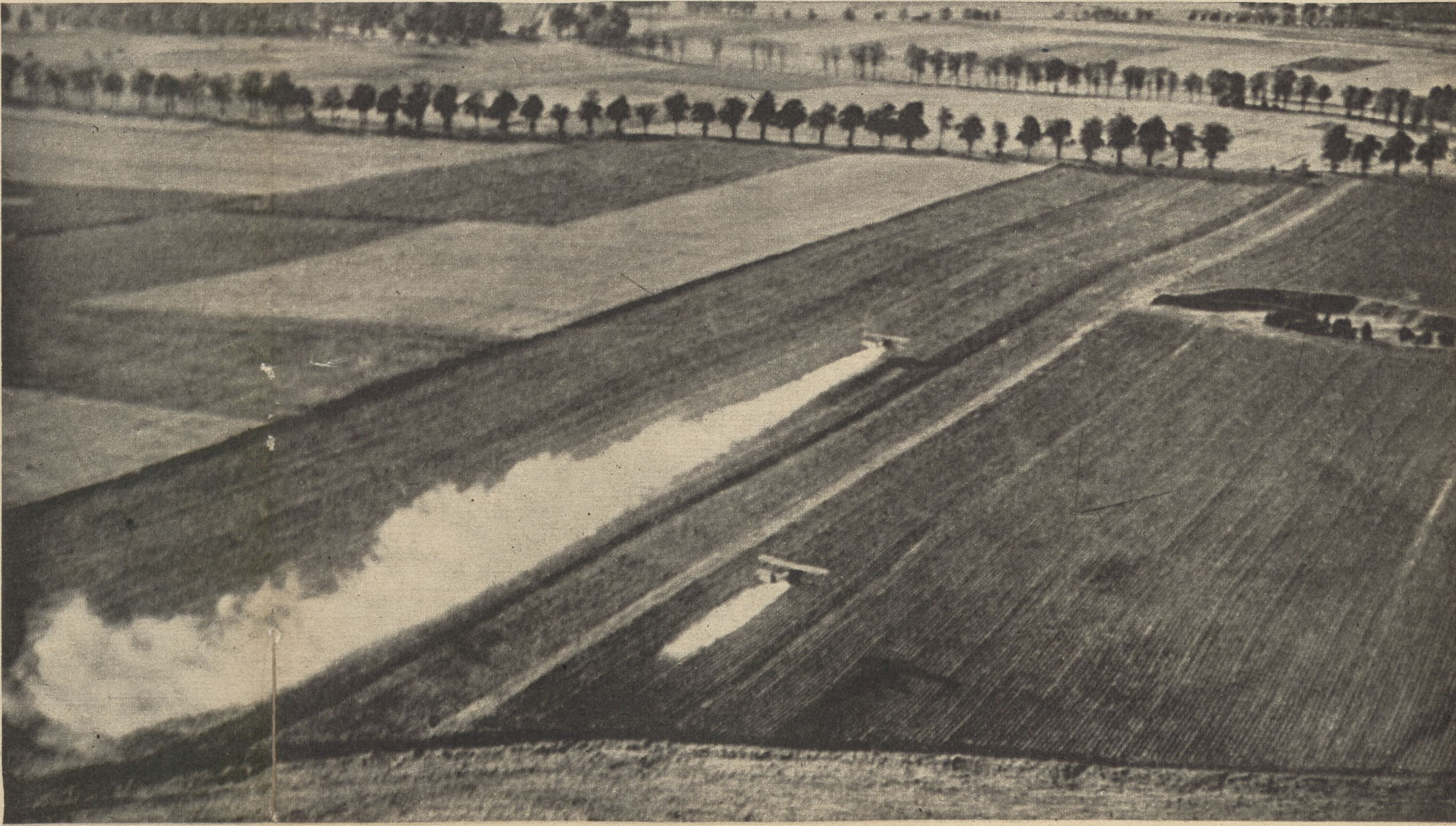
Corocznie duże potacie lesne są opylane przez samoloty PLL „Lot“ w walce z niszczącą drzewostan mniszką-brudnicą, barczatką-sosnowką i osnują gwiazdzistą. Należą one do najbardziej żarłocznych szkodników leśnych: przy masowym występowaniu liczba gąsienic mniszki, atakujących jedno drzewo, dochodzi do 70—80 tys. sztuk, zaś osnui do 55—65 tys. sztuk. Jedna gąsienica barczatki niszczy do 60 igieł na dobę, kilkanaście tysięcy sztuk może objeść całe drzewo. Na wiosnę rb. samoloty PLL „Lot“ opylili około 35 tys. ha lasów w opolskim i stalinogrodzkim, a poprzednio zlikwidowały zagrożenie drzewostanu w okolicach Łomży i Częstochowy.



Z roku na rok doskonalili się technika rozpraszania proszków. Urządzenia rozpraszające rozwinęły się od dość prymitywnych, ręcznych, do całkowicie zmechanizowanych z wyeliminowaniem obsługi ludzkiej wewnątrz samolotu i zastąpieniem jej przez urządzenie, uruchamiane przez załogę. W czasie tegorocznej akcji opylania lasów zastosowano specjalne dysze (na zdjęciach), dzięki którym szerokość smugi wzrosła z 30 m na około 80 m. Dzięki zastosowaniu dysz skrócono czas przelotu samolotu bezpośrednio nad lasem o połowę. Udoskonalenie to, opracowane przez polskich inżynierów, zostało jeszcze ulepszone przez obsługujących je mechaników.

Zdjęcia: PLL „LOT“

Samoloty „Lotu“ mają duże sukcesy w akcji zwalczania stonki ziemniaczanej, szczególnie w okresie, kiedy następuje jej masowe wychodzenie z ziemi. Według obliczeń entomologów, potomstwo jednej samicy może w ciągu okresu wegetacyjnego zniszczyć około 25 ton liści kartoflanych lub 100 tys. roślin. Po opyleniu przez samoloty pola ziemniaczanego, poważnie zaatakowanego przez tego szkodnika, nie znaleziono potem ani jednego żywego okazu stonki ziemniaczanej. W czerwcu i lipcu br. samoloty wzięły udział w zwalczaniu stonki, opylając około 10.500 ha pól ziemniaczanych w woj. szczecińskim, poznańskim i zielonogórskim. Lotnicza akcja przeciwstonkowa trwa nadal. Na zdjęciu: samoloty w akcji nad polem ziemniaczanym. Obsługa samolotów musi mieć mistrzowsko opanowaną technikę pilotażu, by nie dopuścić do najmniejszych luk w opyleniu pola



Tłum.: ROZALIA LASOTOWA

Ilustr.: H. CYGANSKA-WALICKA

w parku



(Rozdział powieści humorystycznej p.t. „Szkłanka wody”)

ARTYSTA-RZEŹBIARZ Bakłażański wchodził do parku z całkowitą świadomością celu i nieznanymi środkami. Doskonale wiedział, co chce powiedzieć Kati, w żaden sposób nie mógł jednak zdecydować, w którym z zakątków parku najlepiej to uczynić.

Dzienne życie parku dobiegało końca. Skośne promienie zachodzącego słońca kładły się na nieśmiertelne tabliczki: „Nie śmieć!” „Nie deptać trawników!” „Kąpiel w stawie surowo wzbroniona!” itd. Na usprawiedliwienie dyrekcji parku trzeba podkreślić, że surowość tych ogłoszeń była zmniejszona ich delikatnymi kolorami, dostosowanymi do barwy strzeżonego obiektu. Zakaz deptania trawników utrzymany był w tonie soczystej zieleni, a zakaz kąpania się w stawie — w odcieniu jasnoniebieskim.

Im dalej w park, tym szybciej opuszczała Bakłażańskiego początkowa stanowczość.

Wyznanie miłosne jest w ogóle sprawą niełatwą. Wyznanie zaś po dwukrotnych oświadczeniach i otrzymaniu kosza jest podwójnie trudne. Bakłażański wiedział doskonale, że wszystko sprowadza się do wypowiedzenia tylko jednego prostego zdania, z dwóch słów: „Kocham cię”. Ale to nie ułatwiało sytuacji. Rozumiał, że nie zdobędzie się na to, aby tak sobie po prostu, bez żadnego przygotowania wyrzec to najtrudniejsze w świecie zdanie. Trzeba najpierw przygotować należyte warunki, stworzyć odpowiednią atmosferę.

„Za dawnych czasów oświadczano się na balu — pomyślał artysta, denerwując się jak nigdy — widocznie w tańcu wielbiciel uzyskiwał niezbędną lekkość i swobodę...”

— Chodźmy potańczyć, Katiu — powiedział z determinacją.

Katia, wielka miłośniczka tańca, zgodziła się chętnie.

Przed muszlą dla orkiestry, na parkiecie ogrodzonym przytulnie żywopłotem, wesoło wirowały pary. Były tu zupełnie młodziutkie dziewczątka, tańczące zawsze ze sobą. Kręciły się z takim zapałem, że ich mocno splecione warkoczyki sterowały wciąż poziomo. Byli też trochę zażenowani starszyszkowie, starannie drepący w miejscu.

W środku parkietu wściekle wywijają swą damą chłopak w małej czapce. Czapeczka była jak nimb — trzymała się, nie dotykając prawie głowy.

Bakłażański wyprowadził Katię na środek, objął ją z ceremonialną skromnością i zaczął oczekiwać taktu, w którym najłatwiej mu będzie puścić się w pływ.

Melodia płynęła, a on czekał cierpliwie. Od czasu do czasu mówił ze skruchą: „Zaraz, zaraz” — chwilami nieśmiało próbował potupać jedną lub drugą nogą, ale z miejsca się nie ruszał. Za każdym razem wydawało mu się, że odpowiednia do rozpoczęcia chwila nie nadeszła jeszcze. Wreszcie, machnąwszy ręką na muzykę, rzucił się w tan, jak człowiek rzucający się w przepaść. Akurat w tej samej chwili orkiestra urwała.

Wszyscy zaczęli klaskać. Bakłażański zupełnie mimowoli wykonał ukłon, potem zmieszał się, zaczerwienił i szepnął do Kati:

— Muszę ci coś powiedzieć...

Jednakże oczekiwana lekkość nie przychodziła jakoś. Muzyka zagrała znowu i tym razem nie udało mu się nic powiedzieć.

Sęk w tym, że Bakłażański tańczyć nie umiał. Jedyne strach przed oświadczeniami popchnął go do tego ryzykownego kroku. Trałował więc wszelkie prawa rytmiki swymi niezadarnymi nogami. Mało tego, udawało mu się następować na nogi nie tylko sobie i swej partnerce, ale i wszystkim parom, które lekkomyślnie zjawiały się w strefie jego działania. Kogo nie mógł sięgnąć nogą, tego — ku własnemu zdziwieniu — zahaczał daleko odgiętym łokciem.

Na przeproszaniu upływał cały czas. Trzeba było pożegnać się z myślą o tym, aby powiedzieć Kati coś, co nie miało bezpośredniego związku z tym druzgocącym tańcem.

Wreszcie, widząc, że Katia z trudem powstrzymuje uśmiech, wymamrotał:

— Niedobrze ci ze mną?

— Skądże znowu! — zaprotestowała Katia z iście kobiecą delikatnością. — Po prostu mamy troszeczkę... odmienny sposób tańczenia. Może przejdziemy się lepiej?

Bakłażański po raz ostatni nastąpił sobie na nogę, nerwowo przeprosił i wyszli. Odpowiednia do oświadczenia chwila została beznadziejnie zmarnowana, trzeba było zaczynać wszystko od początku.

Bakłażański powlókł Katię w najodleglejszy zakątek



Parku Kultury i Odpoczynku, tam, gdzie kończyła się kultura i zaczynał się odpoczynek.

— Tam — mruknął, powtarzając się cokolwiek — będę ci musiał koniecznie coś powiedzieć.

Pod drzewami, do których przybite były ostrzeżenia „Niszczenie drzew surowo wzbronione”, stały długie ławki ogrodowe. Ku nim to dążył Bakłażański, w nadziei, że intymność sytuacji uzbroi go w odwagę, wystarczającą do wygłoszenia fatalnego zdania. Ale znaleźć miejsce na ławeczce, jak się okazało, nie było łatwo. Udało im się wreszcie odszukać ławkę, na której siedziała tylko jedna para. Sąsiad i sąsiadka mieli teczeki. On za każdym razem rozpoczynał swe zaloty miłosne zdaniem: „Ja stawiam sprawę tak...” Gdy zaś ona odtrącała jego wyznania, protestował żałośnie: „Po co tak stawiać sprawę?”

Rzeźbiarz zerwał się wystraszony i szybko ujmując Katię pod rękę, pociągnął ją dalej.

Katia śmiała się serdecznie. Nie! Trzeba wytrącić ją z tego żartobliwego nastroju, który ciągle krzyżował mu szyki. W tej chwili Bakłażański ujrzał kolorową strzałkę z dykty z napisem: „Do wesołego miasteczka!” W głowie jego zrodził się natychmiast diabelnie chytry plan: „Zahustam ją! — postanowił. — Zneutralizuję jej czujność i wtedy się oświadczę!”

Katia zgodziła się chętnie na zaproponowaną rozrywkę i oboje udali się do wesołego miasteczka.

Aleję siłomierzy ominęli, ze względu na tłok. Siłomierze stanowiły ulubioną zabawę milicjantów parkowych i aby się do nich precyzować, trzeba było posiadać taki zasób sił fizycznych, których nie trzeba mierzyć.

Ale po chwili zagroził im drogę olbrzymi, połyskujący metalem agregat rozrywkowy z ryczącym motorem. Bakłażański stanął przed nim jak wryty. Gondola karuzeli nie tylko opisywała pętlę, ale jeszcze w dodatku obracała się dokoła swej poziomej osi, wykonując figurę, zwaną przez lotników „beczką”.

— Zakręć jej w głowie — szepnął Bakłażański i włączył do gondoli. Katia usiadła za nim.

Ryknął motor i Bakłażańskim zaczęło miotać we wszystkich trzech wymiarach. Ludzie, przed chwilą otaczający barierkę, zwalili się nagle na bok, potem wszyscy zgodnie stanęli na głowach, wraz z przyczepionym do ich nóg krajobrazem.

Wył wiatr. Cichym jękiem wtórował mu Bakłażański. Teraz już ze wszystkich stron sypały się na niego domy, drzewa, stawy z płynącymi po nich łódkami i czerwone alejki parkowe z wiszącymi pod nimi ludźmi...

Gdy wyjęto go z gondoli, brakło mu ludzkiego wyglądu, krawata i dokumentów w bocznej kieszeni. Krawat i portfel, znalezione w trawie, przyniesiono mu natychmiast, wygląd zaś, stosunkowo normalny wygląd Bakłażańskiego, odnalazł się cokolwiek później.

Ze swobodą człowieka nieco zamroczonego artysta rzekł: — Chodźmy, Katiu!... — i wziął pod rękę bileterkę karuzeli.

— Katiu... — ciągnął żałośnie, puściwszy bileterkę — mamy tak różne upodobania... Czy to źle?

— To bardzo dobrze — powiedziała czule Katia. — Inaczej byłoby nam nudno z sobą.

Słowa Kati i ton, jakim zostały wypowiedziane, podziałały na rzeźbiarza jak ożywczy balsam. Poderwał się i szybko ujmując Katię pod rękę, pociągnął ją dalej, w stronę alei, ciemnej pod niepełnym jeszcze blaskiem księżyca.

Gdyby w alei było odrobinę jaśniej, nawet Bakłażański zauważyłby, że Katia uśmiecha się tklawie. Domyślała się oczywiście od dawna, o co chodzi. I od dawna pragnęła, aby Bakłażański powiedział wreszcie to, co zamierzał powiedzieć. Nie wiedziała jeszcze, co mu odpowie, ale bardzo, bardzo chciała, aby jej to powiedział.

Tymczasem Bakłażański znowu postanowił działać. Tańce i nieśmiałe szepty do uszka — odrzucił jako półśrodki. Zapragnął uczynić dla Kati coś niezwykłego i trochę staroświeckiego, tym bardziej, że cieniasta aleja sprzyjała temu.

— Czy mogę donieść cię na rękach do ławeczki?! — spytał, zaczerpnąwszy tchu dla odwagi.

— Proszę bardzo! — uśmiechnęła się Katia. Poczuła się nagle w znakomitym humorze.

No, nareszcie, wszystko idzie dobrze! Teraz doniesie ją do ławeczki, usadowi i z rozpędu powie wszystko: dwa słowa, które trzeba wypowiedzieć.

Ławki w parku rozstawione były bardzo nieregularnie. Albo było ich za dużo, albo nie było ich wcale. Bakłażański odbywał — z Katią na rękach — już drugą stumetrówkę, a do ławki ciągle jeszcze nie mógł dotrzeć. Zaczynał dawać się we znaki brak treningu w przenoszeniu ciężarów. Z braku zaprawy drętwiały ręce, nogi już uginały się z lekka. Jakże szczupłutka wydawała mu się Katia z początku, a jaka ciężka teraz! Rozumie się, że myśl o tym, by postawić ją na ziemi w połowie drogi, nie przychodziła mu nawet do głowy.

W każdym razie — opędał się od takiej myśli najsu-
mienniej. Postanowił wreszcie przystąpić do oświadczy-
nia w marszu.

— Katiu... — powiedział zrywającym się, nienatu-
ralnym głosem... i w tej chwili ktoś go zawołał.

Bakłażański odwrócił się i z przerażeniem zobaczył,
że zbliża się do niego znajomy krytyk literacki. Spotka-
nie było tak nieoczekiwane, że Bakłażański stracił głó-
wę, nie postawił Kati na ziemi i stał tak, trzymając ją
na rękach. Krytyk podszedł, przyjrzał się dźwigar-
emu przezeń ciężarowi i stropił się również.

— Gleba tu taka — postarał się rzeźbiarz oprzeć roz-
mowę na bazie naukowej — że trzeba nosić...

— Tak, wilgoć — zgodził się krytyk.

— No, właśnie, piasek... — potwierdził Bakłażański.

Stali tak: Bakłażański z Katią na rękach i krytyk,
okrutnie zmieszany, że tak nieopatrznie przeszkodził za-
kochanym w ich sam-na-sam. Katia — zagryzając usta,
by nie wybuchnąć śmiechem — kąciem oka obserwo-
wała skonfundowanych mężczyzn, ciekawa, jak też
wybrną z tej sytuacji.

— Co nowego? Ciągłe rzeźbicie? — odezwał się wresz-
cie krytyk jedynie po to, aby coś powiedzieć.

— No, tak... Ciągłe rzeźbię — odpowiedział rzeźbiarz,
aby coś odpowiedzieć. — A wy ciągle krytykujecie?

batyczny nie udał mu się: po drugiej próbie Bakłażań-
ski nagle podał bezwiednie krytykowi Katię i, ku
własnemu zdziwieniu, powiedział:

— Potrzymajcie, proszę!

Kiszkinazy pokornie przygotował się na przyjęcie
Kati. Ale ona sama zeskoczyła wreszcie z rąk Bakła-
żańskiego na ziemię i, uśmiechając się, podała mu
wieczne pióro. Wielbiciel spojrzał na pióro, na Katię,
potem na krytyka i zorientowawszy się nagle w situa-
cji — stropił się ostatecznie i szybko zapisał w notesie
swoją własny numer telefonu.

— No, to ja idę... — nieśmiało powiedział krytyk. —
Wpadnijcie kiedy...

— A wy też nie zapominajcie o nas... — odrzekł Bak-
łażański.

Krytyk zgrabnie dał nura w ciemność, w krzaki.

— To ci los!... — westchnął Bakłażański.

Wiedział, że już nie powie swej bogdance: „Kocham
cię“, a tym samym nie pozostawi sobie żadnej nadziei
na przyszłość. Chciał jednak dokonać przynajmniej ja-
kiegoś czynu bohaterskiego na cześć ukochanej, aby w
sercu jej upamiętniło się chociaż do spotkania. Gotów
był, na wzór dawnych rycerzy, wskoczyć na konia, ale

nie miał, i szczęście, że nie
miał, bo i tak nie umiał na nim
jeździć. Gotów był z naraże-
niem życia bronić jej czci, ale
nikt nie sięgał po jej cześć.

— Katiu rzekł nagle —
chcesz, żebym wlaź na drze-
wo? Na sam szczyt?

— Nie wiem... — powiedziała
niepewnie Katia... Jeżeli tak
trzeba...

Ale Bakłażański już nie słu-
chał. Wdrapywał się. Katia z
dołu dawała mu wskazówki
metodyczne. Ale on gramolił
się wbrew wszelkim przepi-
som, omijając sęki, trzymając
się tylko ambicji. Wlaźł bez-
myślnie i beznadziejnie.

Kto wie, czym skończyłaby
się ta uskrzydłona natchnie-
niem wspinaczka, gdyby nie
przeszkodził jej surowy gwiz-
dek milicjanta. Rzeźbiarz wy-
chylił się z gałęzi. Pod nim sta-
ła dziewczyna-milicjant z ręką
przy daszku czapki. Nie zwa-
żając na niezwykłość insceni-
zacji, salutowała mimo wszyst-
ko, a jednocześnie przytrzyma-
wała czapkę.

— Obywatelu, *naruszacie!* —
powiedziała surowo.

— Nie, ja nie naruszam! —
zaprotestował owinięty wokół
gałęzi rzeźbiarz.

— Uważacie więc, że postę-
pujecie w myśl? — spytała su-
rowa dziewczyna.

Dla niej, gdy pełniła służbę,
wszystkie czyny ludzkie kwalifi-
kowały się jako naruszenie
lub postępowanie w myśl obo-
wiązujących przepisów.

— Po coście tam weszli?

— Zbłądziłem! — zełgał w
przytłumieniu fantazji Bakłażań-
ski. — Wypatruję drogi...

— Zejdźcie, zaprowadzę was.

— Jak to — zejść? A jak ja zejść? — oburzył się
Bakłażański. — Wejdźcie wy tu!

Rzeźbiarza zdjęto przy pomocy ogrodowej drabinki...
Zupełnie zepsuty wieczór zakończył się na komendzie
milicji. Zmęczony dyżurny kończył długi protokół „O
łożeniu po drzewach w miejscach wzbronionych“.

— Może naruszyli wy tłumaczy — zwrócił się mili-
cjant do Bakłażańskiego, gdy wszystkie jego personalia
zostały już zapisane — jakie przyczyny skłoniły go do
wdrapywania się na drzewo?

— Trudno uzasadnić to w sposób naukowy — bronił
się Bakłażański zdenerwowany. — Rozumiecie, kocham
kobietę...

— A dlaczego ona was nie powstrzymała od właź-
nia na drzewo? — przerwał milicjant. — Nie było jej
przy tym, czy jak?

— Nie, ona była przy tym... — zaczął Bakłażański
i urwał. Fatalne wyznanie się rzekło!

— Co świadek może dodać od siebie? — zwrócił się
dyżurny do Kati.

— Tylko to, że ja również kocham naruszyiciela —
uśmiechnęła się Katia.

Dyżurny wstał, starannie podał protokół, równie sta-
rannie zmiotł strzępki do kosza, podszedł do drzwi i mili-
cząc otworzył je przed Bakłażańskim i Katią.

Może gest jego oznaczał tylko to, że brak mu czasu na
nianięcie się z zakochanymi, że dość ma innych na-
ruszycieli porządku publicznego; ale wiodące do parku
drzwi, które milicjant otworzył przed młodymi, wyglą-
dały jak szeroko rozwarte wrota do czekającego ich
życia — we dwoje.



— A ja ciągle krytykuję — odrzekł rozmówca.

Po tej wymianie myśli obaj zamilkli na długo szu-
kając słów, którymi można byłoby taktownie zakończyć
rozmowę. Gdy udręka tego milczenia doszła do zenitu,
Katia postanowiła dopomóc biednemu Bakłażańskiemu
w odnalezieniu pretekstu, który pozwoliłby mu postawić
ją na ziemi.

— Może przedstawiś mi jednak swego przyjaciela? —
powiedziała, ostatecznie siłą powstrzymując się od
śmiechu.

— Ach, tak, tak, oczywiście... — mruknął zmieszany
wielbiciel — poznajcie się, proszę... — i w zakłopotaniu
jeszcze mocniej przycisnął Katię do siebie.

— Iwanowa — szepnęła Katia z objęciem rzeźbiarza.

— Kiszkinazy — przedstawił się krytyk. — Bardzo
mi przyjemnie.

Po tej prezentacji zapas fantazji u obu mężczyzn wy-
czerpał się doszczętnie i znowu zamilkli.

— No, to tego... dzwońcie... — wydusił z siebie wresz-
cie krytyk.

— Oczywiście! — ucieszył się Bakłażański.

— Telefon mój macie?

— Nie... — powiedział nierozważnie Bakłażański
i znowu stordował tak pomyślnie zapowiadające się
rozstanie.

— Dajcie ołówek, zapiszę wam — zaproponował su-
mienny krytyk.

Bakłażański spróbował zębami wydobyć ołówek
z wewnętrznej kieszeni marynarki. Ten manewr akro-



MOTOCYKL Z TRZYNASTKĄ

Nad 365-metrową przepaścią rozciągnięto linę, której
końce przytwierdzono do Zugspitze (2.970 metrów nad
poziomem morza) i innego szczytu. Na tę linę, mającą
250 metrów długości, wjechali na motocyklu z dobu-
gowanym trapezem dwaj akrobaci niemieccy — Alfred
Traber i jego syn — Henryk. Ich karkołomne sztuki,
wykonywane nad przepaścią, przysporzyły wiele dresz-
czyków widzom zgromadzonym na pobliskich stacjach
kolejki linowej oraz wiele reklamy zachodnoniemiec-
kiej fabryce motocykli, której znak firmowy mieli obaj
akrobaci wymalowany na koszulkach. Znacznie mniej
był reklamowany fakt, że to granie ze śmiercią odby-
wało się bez żadnej siatki zabezpieczającej oraz że —
w razie wypadku — motocykl nie mógł (patrz zdjęcie)
spaść z liny, natomiast Traberowie nie mieli żadnej
technicznej ochrony. Nie można się dziwić: motocykl
z trzynastką jest pewno własnością firmy, która dba
o swe dobro. Ojciec i syn natomiast należą do rodziny
akrobatów, której — jak to górnołotnie stwierdza za-
chodnoniemiecki tygodnik „Der Stern“ — „wielu człon-
ków okupiło już życiem swą odwagę“.





„MAZOWSZE“? NIE, TO CHIŃSKI ZESPÓŁ MŁODZIEŻOWY Z PEKINU W NASZYM OBERKU. CAJ LA I GO! BIS! BIS! ILUMINACJE PEKIŃSKIE 1 MAJA.

„KUKULECZKA“ POZOSTAŁA W CHINACH

PRZEZ trzy miesiące mieliśmy o nich krótkie, lecz wymowne informacje w dziennikach: „Mazowsze“ występowało w Pekinie; „Mazowsze“ odniosło sukces w Kantonie; Mao Tse-tung przyjął delegację „Mazowsza“; występy w Ulan Bator, w Swierdłowsku, w Mińsku; tysiące ludzi na koncertach... W czerwcu zamieściliśmy obszerny fotoreportaż z ich pobytu w Chińskiej Republice Ludowej. Potem przez kilka dni była cisza, aż nagle wiadomość: „przyjeżdżają“!

Takiego powitania można życzyć każdemu, kto ceni sobie ludzką przyjaźń, sympatię i wdzięczność. Dziewczęta i chłopcy przechodzili z uścisku w uścisk. Całowali ich koledzy — „druga zmiana“ zespołu z Karolina, brali w objęcia ZMP-owcy, którzy przyszedli na dworzec, witali rodzice i znajomi. Krzyżowały się okrzyki, było dużo śmiechu i wesela, ale też niejedna łza dumy i radości popłynęła tego wieczoru — bo był to powrót naprawdę triumfalny.

Następnego dnia spotkaliśmy się w Karolinie. Było ciepło popołudnie i po prześwietlonych słońcem alejach starego parku krążyły gromadki młodzieży, opowiadając kolegom, którzy z nimi nie byli, wszystko, co przeżywali w ciągu tych słonecznych miesięcy. Mieszały się w tych opowieściach słowa polskie, rosyjskie i chińskie, zwłaszcza chińskie, których okazały się przywilejem każdego uczestnika podróży, a teraz popisujący się swymi trofeami lingwistycznymi. Było o czym opowiadać: od Pekinu aż po skrajny Kanton, od Swierdłowska po stepowe przestrzenie Mongolii, wszędzie tam, gdzie ostatnim dźwiękom ich pieśni towarzyszyły wielotysięczne oklaski, młode oczy chłonięły obraz nie widzianych dotąd krajin i narodów ucząc się wiedzy o świecie, poznając ludzi, których przyjaźń zdobywali wstępnym bojem. Dzień i noc mogliby mówić, jeszcze nie zdolałszy powiedzieć o wszystkim.

Wyjeżdżali bez tremy. Czy Chiny — kraj o tak bardzo różnej od naszej

kulturze, o tak odmiennych kryteriach piękna — czy rozumieją nasz folklor? Czy znajdują tam uznanie nasze ludowe pieśni i tańce, które mają przecież umocnić i pogłębić wzajemną przyjaźń? Rychło jednak obawy się rozwiały. Już po pierwszym koncercie w Pekinie Chińczycy przyjęli ich tak gorąco, tak serdecznie, że te pytania nie pojawiły się później ani razu. Z miasta do miasta, z prowincji do prowincji jechali wśród nieprzerwanych owacji, wśród tylu dowodów gościnności i przyjaźni, że czuli się tym skrupowani.

— Przez cały czas podróży — opowiada Irka Wiśniewska (znacie ją pewnie, śpiewa solo w „Dumce o ptaszku“) — gospodarze dbali o nas naprawdę z chińską serdecznością. W drodze każdy nasz wagon miał chińskiego opiekuna, który bez przerwy przynosił nam kanapki, owoce, słodycze, lemoniadę. Zwykle w godzinę najadaliśmy się po same dziurki w nosie, ale Chińczyk nie przestawał krążyć tam i z powrotem, a miał taką zmartwioną minę, jeśli ktoś odmówił wzięcia jakiegoś przysmaku, że woleliśmy nie robić mu przykrości. Albo opieka lekarska: któraś z nas przejadła się. Od razu było dwóch lekarzy, badania, położono ją do łóżka, a w nocy siedziała przy niej pielęgniarka. To naprawdę było bardzo ujmujące.

Nie bójmy się dosadnych określeń: „Mazowsze“ zrobiło w Pekinie furorę. Na jego dziesięciu występach było 104 tysiące ludzi. Gdy młodzież wychodziła na miasto — urządzano jej spontaniczne owacje. — Widziałam — opowiada Kryścia Wypijewska — jak rikszarz, zobaczywszy nas na ulicy, zatrzymał się, postawił swój wózek i zaczął klaskać w dłonie, krzycząc coś w naszą stronę. Młodzież wiwatowała i ścisłała nam ręce. Chwilami zadawałam sobie pytanie, czy mi się to wszystko nie śni...

W obchodach 1-majowych, które w Pekinie wypadły nadzwyczaj barwnie i okazałe, „Mazowsze“ przedefiniowało przed Mao Tse-tungiem i Rządem Chiń-

skiej Republiki Ludowej. Potem przyszedł dzień, który bardzo silnie wbił się w pamięć całej młodzieży.

— To było 9 maja — mówi Jadzia Jankowska. — Występowaliśmy w pałacu rządowym wobec przywódców i kierowników Partii i Rządu Chińskiej Republiki Ludowej. Pałac jest wspaniały! Czegoś takiego w życiu jeszcze nie widziałam, chyba tylko na obrazkach. Koncert był nadzwyczaj uroczysty, a my staraliśmy się śpiewać jak najlepiej. Miałam tremę, jak rzadko. Ale wszystko poszło dobrze. Nasze piosenki tak się podobały, że co chwila odzywały się okrzyki „caj la igo“ — co znaczy po chińsku „bis“. Potem przyjął nas premier Czou En-lai, który serdecznie z nami rozmawiał i życzył nam dalszych sukcesów. Byliśmy z siebie bardzo dumni — kończy z zabawną powagą.

Mogli być dumni. Od pierwszego występu w Pekinie przylgnęła do nich nazwa „kwiat wschodniej Europy“. Cisnęły się do nich zespoły chińskie, chcąc nauczyć się polskich pieśni i tańców. Wypytywano o metody pracy, zapewniając, że doświadczenia polskie będą wykorzystane przy organizowaniu podobnych zespołów w Chinach. Jeden taki zespół, prawdziwe chińskie „Mazowsze“, powstał jeszcze w czasie ich pobytu w Pekinie: młodzież chińska z pomocą kierowników artystycznych i młodzieży „Mazowsza“ nauczyła się w ciągu kilkunastu dni prawie całego repertuaru „Mazowsza“. Przed wyjazdem odbył się prawdziwie niezwykły koncert: w kurpiowskich i opoczyńskich kostiumach stanęli na estradzie śniadoskórzy i czarnocy Chińczycy, śpiewający po polsku polskie piosenki i tańczący polskie tańce...

— Wtedy przekonałam się, że wszyscy mamy oczy w mokrym miejscu — opowiadała dyrektorka zespołu, Jadwiga Szadzińska. — Kiedy drobna Uan Tsi dzieciennym głosem zaśpiewała „A gdy ja już będę siwa, siwa siwiuteńka, czy będziesz pamiętał, jak byłam panienką“ — zobaczyłam, że wiele osób miało łzy w oczach. Plakali członkowie naszej delegacji, płakał nasz opiekun, stary chiński generał, i ja sama zryczałam się jak pensjonarka.

To chińskie „Mazowsze“ nie było jedynym zespołem, który nauczył się polskiego repertuaru. W samym Pekinie aż 7 chińskich zespołów opanowało zupełnie dobrze piosenki i nasze tańce, w Tiensinie — 3 dalsze zespoły, w Hsian — jeszcze jeden. W Mukdenie kilka dziewcząt chińskich śpiewało w chórze polskie piosenki.



Po uroczystym koncercie w pałacu rządowym Premier Czou En-lai serdecznie gratulował zespołowi „Mazowsze“ i jego kierownikowi, Andrzejowi Panufnikowi.

Bardzo skondensowany program występów wymagał od młodzieży dużego wysiłku. Nie zawiodła ona naszych oczekiwania, wykazując swą postawą, że godnie reprezentowała naszą kulturę. W trudnych warunkach klimatycznych, w ciągu niewielu dni — odliczywszy czas na przejazdy — „Mazowsze“ dało w 14 miastach 44 koncerty wobec prawie 400 tysięcy słuchaczy. Na ostatni koncert w Chinach, w Fu Szun, przyszło 40 tys. ludzi. Gdy mieli już wracać do kraju, przyszło zaproszenie z Mongolskiej Republiki Ludowej. Przyjęli je, choć wielu tęskniło za domem, za rodziną. Gdy dobiegał końca pobyt w Mongolii — nadeszło zaproszenie ze Związku Radzieckiego. I znów zdecydowali się jechać — bo przecież w Związku Radzieckim zdobywali swoje pierwsze „ostrogi artystyczne“ za granicą i tam najwięcej mają przyjaciół.

Jechali przez równiny Mongolii. W Ulan Bator oglądali 11—13 lipca uroczyste obchody narodowego święta. Potem Swierdłowsk i Mińsk, gdzie witano ich jak starych przyjaciół, byli tu bowiem przed dwoma laty. Później — do kraju.

Po drodze przyszedł do nich list, który gonił za nimi przez wiele tysięcy kilometrów. List wysłał Jan - Tsiao, mały chłopiec z Tybetu. „Nie widziałem Was nigdy — pisał Jan - Tsiao — ale wasze melodie dotarły do naszej dalekiej wioski tybetańskiej. Pokochałam wasze pieśni. Gdy nadają je przez radio, przy głośniku zbiera się cała wieś. Życzę wam, drodzy koledzy, sukcesów i powodzenia w waszej pracy“.

Nie trzeba już wprowadzić nic dodawać do tych słów, ale przytoczymy jeszcze jedną wypowiedź: Gdy opuszczali Chiny, młodzież chińska żegnając ich, mówiła: „Wyjeżdżacie, ale my się nie rozstajemy, bo pozostają w Chinach wasze tańce i pieśni. Nasze zespoły powiozą je do najdalszych prowincji i zobaczycie, że wkrótce będzie je śpiewał cały naród chiński“.

A. WRÓBLEWSKI



Każdy członek zespołu „Mazowsze“ przywiózł z Chin pamiątki. Dziewczętom najbardziej podobały się parasolki, tkaniny i artystyczna biżuteria sztuczna.

PIEŚŃ DYMITRA LIZOGUBA

JESIENIĄ 1884 ROKU Ludwik Krzywicki spotkał w Lipsku młodego, początkującego poetę, Jana Kasprowicza. Krzywicki tak był pod wrażeniem dopiero przeczytanego wiersza „Na szafocie”, że go Kasprowiczowi na gorąco, dosłownie z tekstu rosyjskiego przetłumaczył. Wiersz niemniej-
sze wrażenie wywarł na poecie, skoro rano przyniósł on Krzywickiemu piękne, poetyckie już tłumaczenie. Była to jedna z pierwszych prac literackich Kasprowicza, który sympatyzował wtedy z ruchem rewolucyjnym. W kilka tygodni potem przekład ten zawiązał Krzywicki osobiście do Genewy i oddał do druku w „Przedświcie”, emigracyjnym piśmie polskich socjalistów. Ukazał się on tam podpisany literą J., w numerze 7 z listopada roku 1884, z niewielką notatką redakcyjną, w której autora wiersza, Dymitra Lizoguba, postawiono rewolucjonistom polskim za wzór poświęcenia i bohaterstwa.

Wcześniej jeszcze ten sam wiersz ukazał się w 6 numerze pisma „Walka Klas”. Bolesław



Dymitr Andrejewicz Lizogub w okresie młodości

Czerwiński, późniejszy autor „Czerwonego Sztandaru”, zdążył już przedstawić w noweli „Faraon” scenę sądu nad rewolucjonistami w Odessie, będącej odbiciem niedawnego procesu Lizoguba. Sprawa Lizoguba i towarzyszy, poległych w walce z caratem, nie była więc obca polskim rewolucjonistom.

Kim był Lizogub?

Był on jednym z założycieli i kierowników „Ziemi i Woli”, wielkiej przedmarksylistowskiej organizacji rewolucyjnej w Rosji. Wszystko co posiadał — majątek, talent, całe swe życie — oddał sprawie rewolucji, sprawie wyzwolenia ludu pracującego. Zdradzonemu dostaje się w końcu

1878 roku do więzienia. Wraz z kilkoma towarzyszami skazany zostaje na karę śmierci i stracony w Odessie w dniu 22 sierpnia 1879 roku.

Czasopismo „Narodnaja Wola” tak opisuje ostatnie jego chwile: „Zbliżył się duchowny, lecz Dymitr Andrejewicz odmówił ucałowania krzyża, pedanego przez duchownego, tego sługę carskiego, który osmielił się w minucie tej mówić o miłości bożej i miłosierdziu”.

Lizogub umierał śmiało z okrzykiem na ustach: „Niech żyje lud, niech żyje wolność!”

Lizogub był właśnie tym rewolucjonistą, którego ostatnie chwile uwiecznił Ilja Riepin w arcydziele „Odmowa spowiedzi przed straceniem” (1880—85). O wielkości ducha Dymitra Lizoguba i o jego płomiennej miłości do ludu świadczy ów wiersz „Na szafocie”, napisany przez niego w samą godzinę śmierci. Słowa tego wzruszającego do głębi testamentu żegna Lizogub ukochany lud na zawsze.

Z murów więzienia wiersz Lizoguba wydosł się na wolność, jako jedyny świadek ostatnich chwil rewolucjonisty. Walczący z caratem bojownicy przyjęli go ze wzruszeniem; kolportowano go w odpisach, uczono się go na pamięć. Nieznany kompozytor dorobił do niego muzykę i wiersz stał się odąd pieśnią rewolucyjną. Rewolucjonista N. Witaszewski wspomina, iż więźniowie Kary śpiewali z prawdziwym przejęciem i zapalem „Pieśń Dymitra Lizoguba”, jak zaczęto nazywać teraz ten utwór.

W latach następnych utwór Lizoguba stał się jedną z najbardziej popularnych pieśni działaczy rewolucyjnych na zesłaniu i katorżce. Lubił tę pieśń Jegor Minakow, inny wybitny rewolucjonista, stracony później w Szlisselburgu w roku 1884.

Drukiem wiersz Lizoguba ukazał się po raz pierwszy w czasopiśmie emigracji rosyjskiej „Wiestnik Narodnej Woli”. Stamtąd przesłał się do kół emigracji polskiej, a między innymi trafił do rąk Krzywickiego i Kasprowicza.

JOZEF KOZŁOWSKI

Zegnaj mi, ludu! Ostatnie już słowo
Dziś Wam posyłam, drodzy towarzysze,
Kąt mię już czeka. Ponad moją głową
Już się śmiertelna pętlica kołysze.

Nie drzę przed stryczkiem, umieram
spokojnie,
Bo w moim sercu tkwi wiara gorąca,
Ze po tych trudach, po tej krwawej
wojnie
Zobaczą ludy blask złotego słońca.

Przebac mi, ludu, jeśli moje czyny
Nierówną korzyść niosły ci w ofierze —
Przebac i nie chciej szukać we mnie
winy;
Ja cię kochałem, gorąco i szczerze.

Przebac! Już gardło pętlica mi ciśnie
W oczach już ciemno, krew już krzepnie
młoda —
Hurra!... niedługo nowy świt zabłyśnie —
Niech żyje rozum, miłość i swoboda!...

J.

(„Przedświt” nr 7, listopad 1884 r.)

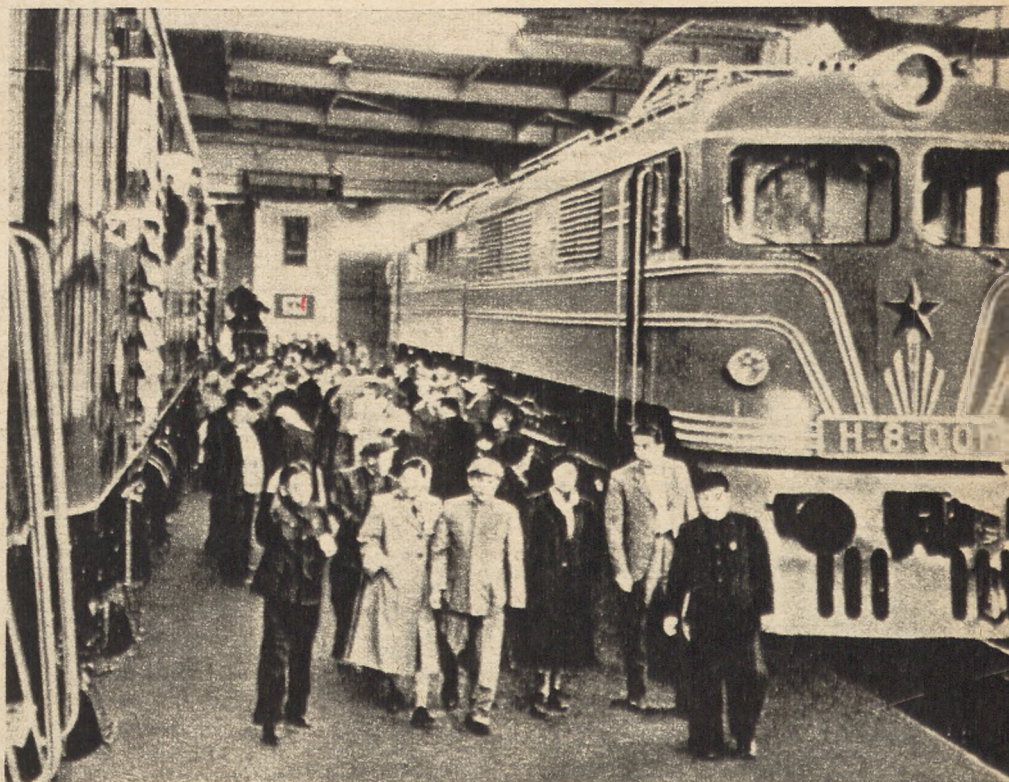


W Moskwie padł niedawno nowy rekord w budownictwie: na budowie wysokościowego gmachu hotelu na Wybrzeżu Dorogomilowskim S. Piskun (z lewej), stosując przy układaniu elewacji z części prefabrykowanych metodę opracowaną wspólnie z N. Bacurą (na zdjęciu z prawej), osiągnął w ciągu jednej zmiany 1900% normy (fot. W. Rujkowicz).



Nowy pomnik Antoniego Czechowa odsłonięty został w uzdrowisku Jalcie na Krymie, gdzie wielki pisarz spędził dużą część swego życia. Autorem pomnika jest rzeźbiarz G. Motowilow. Na uroczystym odsłonięciu pomnika przemawiały między innymi: żona pisarza — Olga Knipper-Czechowa, oraz jego siostra — Maria Czechowa (fot. A. Riabczew).

AKTUALNOŚCI RADZIECKIE



Zakłady Budowy Parowozów w Nowoczerkassku produkują lokomotywy elektryczne na zamówienie Chińskiej Republiki Ludowej. Niedawno bawiła w Zakładach tych delegacja chińska, której członkowie oglądali maszyny budowane dla ich ojczyzny. (fot. A. Garanin)

Obwód riaziański szybkimi krokami zmierza do pełnej elektryfikacji wsi. W bieżącym roku powstanie w obwodzie 13 elektrowni wiejskich, które dadzą prąd ponad 100 kolchozom. Na zdjęciu podstacja transformatorowa elektrowni wodnej w Rassypuchinie, niedawno uruchomionej w ramach planu elektryfikacji obwodu (fot. M. Sawin).

Dobiegają końca prace przy budowie Południowo-Syberyjskiej magistrali kolejowej, która połączy Ural z Zagłębem Kuźnieckim. Na budowie szeroko stosowany jest sprzęt mechaniczny: oto wielki dźwig do układania torów konstrukcji W. Płatowa, pracujący na ostatnim odcinku linii Kulunda-Barnaul w północnym Kazachstanie. (fot. I. Riumkin).



Obraz I. Riepina „Odmowa spowiedzi przed straceniem” (1880 — 1885).

OKNA WYSTAWOWE WIEDNIA

EWA FISCHER

Korespondencja „Świata” z Wiednia

Na skutek militaryzacji gospodarki i kurczenia się przemysłu pracującego dla potrzeb ludności cywilnej, wzrasta w Austrii bezrobocie. Gospodarka austriacka, odcięta od tradycyjnej wymiany handlowej z Europą wschodnią — dusi się. W roku ubiegłym przemysł włókienniczy zmniejszył produkcję o 27,7%, a garbarski i obuwniczy — o 12,8%, przy czym zlikwidowało się około 5 tysięcy pracowni rzemieślniczych. Austriacki handel zagraniczny przyniósł w roku ubiegłym 3,2 miliarda szylingów deficytu. Jednocześnie rząd nie skąpi funduszy na obiekty strategiczne, jak np. na autostradę o znaczeniu wybitnie wojskowym z Salzburga do Wiednia, która kosztować ma 4 miliardy szylingów. Pieniądze na tę budowę — jak i na inne jej podobne — rząd otrzymuje z „oszczędności” na emeryturach i zasiłkach, z podwyżki komornego i cen artykułów powszechnego spożycia czy z dewaluacji szylinga. Artykuł naszego korespondenta pokazuje, co ukrywa się za pozornymi rumieńcami „mieszczańskiego dobrobytu” nadnaujskiej stolicy.

O FICJALNIE za najbardziej luksusową z luksusowych ulic Wiednia uchodzi Kärntnerstrasse. Może dlatego, że nie ma tam antykwariatów, licznych na innych ulicach miasta. W antykwariatach bowiem leży na wystawach to, czego pozbawia się ludność — albo dlatego, że dany przedmiot jest zbyt cenny, albo dlatego, że bardzo potrzebuje pieniędzy. Na wystawach antykwariatów wiedeńskich przeważają medale, odznaczenia wojskowe, krzyże, pamiątki rodzinne z czasów cesarsko-królewskiej Austrii i pojedyncze sztuki starej porcelany i nakryć. Ot — tu talerzyk, tam pocięta srebrna łyżeczka.

Na Kärntnerstrasse nie ma antykwariatów. Ale i na Kärntnerstrasse przed prześlicznie urządzonej wystawami, na których widać gustownie upięte powiewne jedwabie, drogie, cieniutkie welenki, najmodniejsze pantofle, przed doprowadzającymi do wystaw gromadzą się żebracy. Gromadzą się — trudno użyć innego słowa. Nigdy w życiu nie widziałam takiego zagęszczenia ludzi proszących o wsparcie jak w Wiedniu latem 1953 roku. Ludzi najróżniejszych kategorii. Rano widzi się żebraków zawodowych. Oto wysoki, tegi mężczyzna idzie przez Kärntnerstrasse, wybiera sobie najbardziej elegancką witrynę (w tym wypadku był to sklep jubilerski), siada na chodniku i dramatycznym ruchem wyciąga przed siebie ręce. Po pięciu minutach właściciel sklepu okupuje się mniejszą lub większą kwotą i żebrak znika. Po południu, szczególnie gdy się już ściemnia, co trzy kroki zatrzymuje

cię jakaś staruszka i opowiadając tragiczną historię prosi o parę groszy. Przez cały dzień mniej więcej na każdym rogu siedzą z wyciągniętą ręką inwalidzi.

Oficjalnie zarejestrowanych bezrobotnych jest w tej chwili w Austrii 240 tysięcy (na siedem milionów ludności). Jeżeli robotnik przy pracy ulega wypadkowi, zostaje zredukowany, a o ubezpieczeniu na wypadek kalectwa lepiej nie mówić.

Kärntnerstrasse uchodzi za jedną z najbardziej eleganckich ulic Wiednia. Wystawy niewątpliwie urzekają. Wchodzę z pewną treścią, do jednego z najbardziej reprezentacyjnych sklepów. Po piętnastu centymetrach czarnego velour-chiffon na wstążkę do włosów. Nie bardzo wierzę w pozytywne załatwienie sprawy. Czyż w tym wytwornym magazynie zechcą się trudzić dla tak nieznacznego sprawunku, ewentualnie uszkadzając kupon drogiego materiału i tracąc następną klientkę?

Pierwsze wrażenie: sklep jest tak luksusowy, jak to zapowiadała wystawa, i — pusty. Jestem sama.

Materiały prześliczne i — niezmiernie drogie.

Ekspedientki czarujące, uprzejme, niemal uniozone i — wyraźnie niedożywione.

Jedna z nich odcina mi odpowiednią ilość velouru; przeprosza, że niestety nie może wyciąć piętnastu centymetrów ze środka kuponu i pyta, czy będę tak uprzejma i zechcę wziąć kawałek z obrębką. Inne wyciągają kupony jedwabiu, wełny, drapują sobie na ramio-



Aby niezamożnej młodzieży utrudnić studia, władze austriackie podwyższyły opłaty na uczelniach. Młodzież nie pogodziła się z tym i zorganizowała demonstracje.

nach i namawiają do kupna. Zarządzająca sklepem przywołuje modelkę i pomimo moich gorących sprzeciwów każe jej przedefiniować przede mną w rozmaitych kreacjach. Mimo że wychodzę ze sklepu nie kupiwszy nic poza materiałem na wstążkę, cała załoga sklepu odprowadza mnie do drzwi polecając się łaskawej pamięci.

Wychodzę lekko oszołomiona nie rozumiejąc nic. Ale los sprzyja ludzkiej ciekawości. Tego samego dnia wieczorem, w małej restauracyjce, daleko od centrum miasta, widzę znajomą twarz. Niemal na pewno jest to jedna z ekspedientek tego sklepu. Dla sprawdzenia uśmiecham się, odpowiada mi ukłonem; jest łok, zapraszam ją, aby usiadła przy moim stoliku. Ja jem parówki z piwem, ona zamawia też parówki. Dla nawiązania rozmowy zadaję pierwsze pytanie, jakie przychodzi mi na myśl: „Dlaczego pani nie zamawia piwa, parówki są niedzwyczajne, trzeba je czymś popić”. Dziewczyna zasypuje mnie gradem gorączkowych słów, z których dopiero po chwili (słaba znajomość niemieckiego) zaczynam coś rozumieć.

A więc tak: nie ma pieniędzy na podobne luksusy, zawsze było ciężko, a w dodatku parę tygodni temu szefowa obcięła pensję. „Sama pani widziała, jak u nas pusto, żeby chociaż trzy porządne klientki przyszły co dzień i coś kupiły. No to ta cholera chciała dwie z nas wyrzucić. Żeby trafiło na modelkę, nic byśmy nie powiedziały. Ona sobie dobrze dorabia z Amerykanami. Ale Erna ma dwoje dzieci, a mąż chory. Tośmy się zbuntowały. I baba zostawiła Ernę i Marię, a wszystkim obcięła po 20%. Ale za to mamy premie od sprzedaży, o, a jakże! Jakby pani kupiła tę rdzawą welenkę, którą pani pokazywałam — przez cały tydzień mogłabym sobie fundować piwo!”

Ale to jeszcze nie jest pointa tego krótkiego opowiadania.

W parę dni później spotkałam pewnego młodego poetę, Wilhelma S. Na dziewiętnaście lat. Rok temu skończył szkołę. Chciał studiować — nie ma środków. Przez

rok szukał pracy — nie znalazł. Dwa razy udało mu się opublikować wiersz — niewiele.

A jest zdolny. Tylko że... Przytoczę fragment jednego z jego ostatnich utworów:

„Dni są puste tak, jak głodne noce,
Ręce puste jak sakwa żebraka.
Chciałbym pisać, ale nie mam
o czym,
Chyba, że opiszę lot ptaka,
A nie tylko moje dni i noce”.

Niestety wiersz ten jest charakterystyczny dla postawy austriackich poetów i intelektualistów ze środowiska liberalno-drobnomieszczańskiego. Widzą całą beznadziejność swojej sytuacji, ale nie potrafią i chyba nie chcą znaleźć pozytywnej postawy sprzeciwu. Niektórzy z nich wiążą się z klasą robotniczą i konkretną walką. Ale takich jak np. Otto Hans, który napisał słowa do kantaty Marcela Rubina o młodzieży austriackiej, jest niewielu.

Wzdychaniem i biadoleniem wyraża się w tym środowisku sprzeciw przeciwko sytuacji kraju z jednej strony, a amerykańskiej z drugiej. Okazuje się ten sprzeciw pijąc w ogródkach wino i śpiewając piosenki, głęboko — w imię walców Straussa — pogardzając tymi chamami Amerykanami... Tradycje Franza Josepha, tradycje socjaldemokracji itd. itd.

Ojciec Wilhelma S. jest urzędnikiem i o ile starczy mu pieniędzy na wino — pije wino. Jeśli nie starczy — zadowolą się piosenką. Wilhelm S. jest bezrobotny, widzi beznadziejność swej sytuacji i nie wyciąga z tego wniosków.

„Cóż, nawet gdybym miał pieniądze na studia — to co potem? Profesorowie mówią o swoich wychowankach — „mózgi na eksport”. Możliwości znalezienia pracy dla absolwenta uniwersytetu w Austrii są minimalne: 5 tysięcy bezrobotnych nauczycieli, iluż lekarzy... Pozostaje emigracja. „Mózgi na eksport”. Wyprowadź po niższej cenie”.

Pytam Wilhelma S., co wobec tego zamierza robić. Wilhelm ożywia się. Ojciec zna właściciela pewnego sklepu. I ten obiecuje, że od jesieni zatrudni syna swego przyjaciela. Jako sprzedawcę. „Fajny sklep” — mówi Wilhelm.

Biedny poeta... Biedny Wilhelmie S.! Mimo że znasz podszewkę Kärntnerstrasse i walcu na Praterze, urzekły cię jednak okna wystawowe Wiednia...

Na ulicach Wiednia stale spotyka się żebraków, natarczywie dopraszających się o wsparcie.



FOTO

KORRESPONDENCI DONOSZA

JEDEN WYBUCH I ZŁOM JUŻ GOTÓW



Tomasz Warzecha opuszcza się na dno, by założyć na wraku materiał wybuchowy

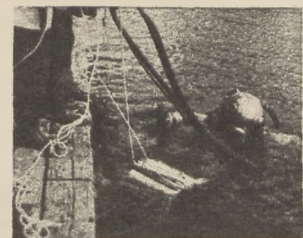
W jednym z portowych kanałów przy jeziorze Dąbskim zakotwiczono istne „miasteczko” pływające. Miasteczko to należy do ekipy Polskiego Ratownictwa Okrętowego „Bak” i złożone jest z kilku jednostek, które zajmują się wydobywaniem wraków, zatopionych podczas ostatniej wojny.

Do niedawna wraki przeznaczone na złom cieżko palnikami pod wodą, a następnie przy pomocy dźwigów wydobywano z dna na barkach skierować je do hut. Obecnie ten system pracy jest już połączony, jako nieekonomiczny i mało wydajny. Ciężkie palnikami wraku pod wodą pochłaniało bowiem wiele cennego czasu — nieraz tygodnie i miesiące — wymagało zaopatrzenia ekip w ogromną ilość butli tlenu z wodorem. Metoda ta uszczuplała zapasy tlenu i wodoru, tak niezbędnego dla przemysłu, nie mówiąc już o kosztach transportu.

Aby zaoszczędzić wiele setek butli z tlenem dla budowy obiektów przemysłowych

i domów mieszkalnych, pracownicy ekip Polskiego Ratownictwa Okrętowego, między innymi Władysław Trzcinski i Adam Ładosz — zmienili zupełnie sposób remontowania wraków: ciężkie palniki zastąpili rozrywaniem ich kadłubów przy pomocy materiałów wybuchowych. Pomysł ten przyniósł olbrzymie oszczędności i usprawnienie pracy; podział bowiem wraku na części wraz z przygotowaniami zajmuje tylko jeden dzień, zamiast tygodni czy nawet miesięcy.

Trudną i odpowiedzialną pracę, która polega na umocowaniu ładunków wybuchowych i sprawdzeniu działania wybuchu — wykonują w ekipie ratowniczej „Bak” nurkowie: Tomasz Warzecha, Edward Brenda i Stanisław Romuzga. Wszyscy trzej twierdzą zgodnie, iż obecnie praca ich jest szybsza i łat-

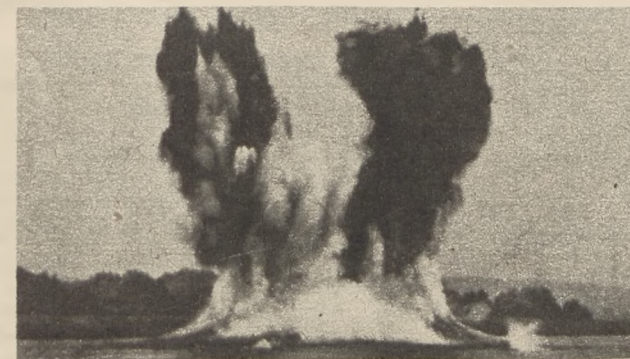


Ładunek wybuchowy został już przymocowany, nurk wraca na powierzchnię.

wiejsza, gdyż „nie potrzebujemy się czekać męcząc całym dniami pod wodą”.

Pracownicy Polskiego Ratownictwa Okrętowego „Bak”, zdając sobie sprawę, jak wielkie znaczenie dla naszej gospodarki ma złom, podjęli jeszcze szereg nowych zobowiązań, zmierzających do coraz większego usprawnienia i podniesienia wydajności pracy.

Stefan Cieślak, Szczecin



Wybuch na dnie wzbija na powierzchnię wysokie fontanny wody.

KOCHANY „ŚWIECIE”

Jesteśmy nad Skawą. Rokrocznie przyjeżdżamy tu na kolonie z zadymionego Stalino-rodru, by odetchnąć i nabrać sił do dalszej pracy.

Powietrze, woda i słońce sprzyjają apetytom. Ale też dbają o nas: i Rada Zakładowa i kierownictwo kolonii dla dzieci pracowników Woje-

Wojewódzkiego Przedsiębiorstwa Komunikacyjnego. Mamy jedno zażalenie: że nasz dziesięciodniowy turnus nie sięgł ku końcowi. Pociesz nas drogi „Świecie” i zamieść załączone zdjęcie, bo podobno... „fotografia powiększa radość życia”.

Kolonistki WPK w Stalino-rodzie

Fot. K. Sempek



GRUPA SZTURMOWA IM. ROSENBERGÓW

Wśród krakowskiego zgromadzenia brygad „SP” wyróżnia się brygada im. Paszy Angeliny, zatrudniona przy budowie Nowej Huty. Jej członkowie szczególnie żywo interesują się piłką nożną. Reprezentacyjna „jednostka” tej brygady odniosła już wiele cennych zwycięstw nad innymi drużynami junackimi, wojskowymi i „cywilnymi”. Za pieniądze uzyskane ze sprzedaży biletów wstępu na imprezy, sportowcy brygady zakupili sobie wartościowy sprzęt i wyposażenie sportowe.

Na podkreślenie zasługuje



PRZED OSIEDLENIE SIĘ NA ZIEMIACH ZACHODNICH

Żołnierze, którzy po służbie pragną poświęcić się rolnictwu, zwiedzają PGR i Spółdzielnię produkcyjną na Ziemiach Zachodnich, by poznać miejscowe warunki pracy.

Jedną z takich grup przybyła do spółdzielni produkcyjnej w Budzowie w powiecie ząbkowskim. Największe zaciekawienie wśród żołnierzy wzbudził kombajn radziecki „S-4” pracujący na polach spółdzielczych.

Wielu ze zwiedzających postanowiło po wyjściu z woj-

ska zagospodarować się właśnie na Ziemiach Zachodnich.

Wojciech Janas, Wrocław



FOTOGRAFIA NA CODZIEN

FILTRY Z CELOFANU

W odpowiedzi jednemu z naszych Czytelników napisaliśmy niedawno na łamach „Fotografia na codzień”, iż filtrów fotograficznych nie da się sporządzić własnymi siłami. Otrzymałszy na to list od Leona Piątkowskiego z Bolesławca. Jest on zapalonym fotoamatorem, a przy tym, jak wynika z jego obszernego listu, zamiłowanym „majstrem”, który sam zbudował sobie aparat do powiększeń, liczne przyrządy pomocnicze, między innymi również i filtry z kolorowego celofanu. Posługuje się nimi z powodzeniem, o czym świadczą załączone zdjęcia, wykonane przez zwykłym skrzynkowym aparatem Kodaka przy użyciu filtrów własnego wyrobu.

A oto podany przez autora sposób wykonania tych filtrów. Potrzebne są nam kawałki przezroczystego, odpowiednio barwionego celofanu, takiego, jaki używany jest do ochrony wystaw przed słońcem. Celofan musi być gładki, bez rysów i skaz. Wklejamy go między krawki z grubej tektury, środek krawków musi mieć średnicę oprawy obiektywu, na który będzie nakładany. Jeżeli pojedynczy krawek kartonowy oprawy naszego filtru nie chce się trzymać dość mocno na obiektywie, doklejamy jeszcze jeden krawek kartonowy. Sklejone z płatkami



„Wagorze Terangiego pod Bolesławcem” — zdjęcie L. Piątkowskiego, wykonane przy użyciu zielonego filtra celofanowego.

fakt, iż w brygadzie nie ma wąskiej grupki „wyczynowców”, lecz że sport uprawiają czynnie i z dobrymi wynikami wszyscy junacy.

Ostatnio, dla uczczenia zbliżającego się IV Światowego Zlotu Młodzieży i Studentów w walce o Pokój i Przyjaźń, w brygadzie tej powstała grupa szturmowa, pracująca na najtrudniejszych, najcięższych odcinkach pracy.

Grupa ta przybrała imię małżonków Rosenbergów, bohaterów bojowników o pokój, zamordowanych przez

amerykańskich faszystów. W skład grupy szturmowej wchodzi junacy: Edward Szczur (brygadzysta), Marian Psut, Jerzy Sliwiński, Adam Gogół, Ryszard Feljakowski, Antoni Łudzik, Zdzisław Porębski, Władysław Małek, Stanisław Bielik i Kazimierz Michałek.

Grupa ta przy betonowaniu wykonuje przeciętnie 205% normy. Członkowie jej dokładają starań, aby przodować również w pracy świetlicowej.

Tomasz Czabański, Warszawa

KONKURS, ZAGADKA CZY PO PROSTU SZMIRA?

Spójrzcie, drodzy Czytelnicy, na zdjęcie zamieszczone obok. Możecie je oglądać w różnym położeniu, pionowym, poziomym, czy „do góry nogami”. Rezultat ten sam. Nie zorientujecie się, co ma ono oznaczać.

Nie jest to ani nowy konkurs „Świata”, ani zagadka, nad którą trzeba dobrze pogłębować się — ani też omyłka redakcji czy chemigrafii. Jest to po prostu odbitek widokówki z fragmentem Polanicy Zdroju. Wierzymy „na słowo” i to „słowo drukowane”, tak bowiem głosi napis na pocztówce.

Pocztówka ta nie jest bynajmniej jakimś okazem czy unikatem.

Niestety, wszystkie pocztówki, które można nabyć w Polanicy, są podobne do tej, którą widzicie obok na zdjęciu. Szara plama, ciemniejsza na dalszym planie. Ścieżka? Strumień? Las? Trudno to ustalić.

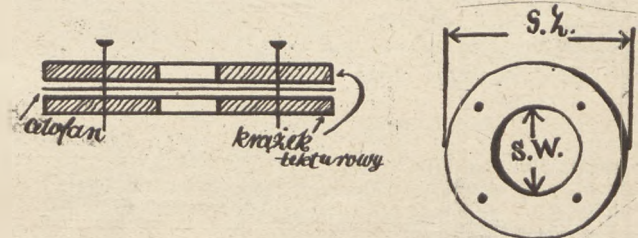
Autor i wydawca nieznani. Wstydził się widocznie — i słusznie — umieszczać swe



nazwiska pod taką szmيرًا. Napis „D. St. Turyst. M. 24512” jest jedynym znakiem, pod którym się ukrywają, by ocalić swe dobre imię.

Sprawą tą powinno zainteresować się wydawnictwo „Sport i Turystyka” i wydać ją jak najszybciej estetyczne pocztówki, które by naprawdę ukazywały piękno naszego kraju.

L. Makowski, Polanica



Przekrój poprzeczny.

W braku laku — dobry i opłatek, mówi stare przysłowie. Przy odpowiednim doborze celofanu, starszym wykonaniu i obchodzeniu się, nasze filtry mogą oddać nieocenione usługi. Zachęcamy też wszystkich fotoamatorów do sporządzenia i wypróbowania filtrów według wskazówek L. Piątkowskiego. Autora zaś pomysłu prosimy o nadesłanie do redakcji „Świata” szkiców i opisu wykonanego przez siebie powiększalnika i innych przyborów fotograficznych.



„W górach Izerskich” — zdjęcie L. Piątkowskiego, wykonane przy użyciu żółtego filtra celofanowego.

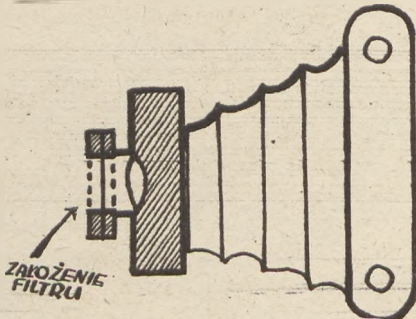
PRZYPOMINAMY O NASZYM KONKURSE FOTOGRAFICZNYM

W nr 29 „Świata” z dnia 19 lipca rb. ogłosiliśmy konkurs fotograficzny, w którym udział wzięć mogą poszczególni fotografowie — amatorzy oraz zespoły (np. szkolne, fabryczne, świetlicowe) lub kółka należące do Polskiego Towarzystwa Fotograficznego.

Tematem prac (o formacie 13 x 18 lub 18 x 24) może być piękno naszego kraju, folklor, zabytkowa i nowoczesna architektura, rozwój gospodarczy miasta i wsi, nasze osiągnięcia w dziedzinie kultury, oświaty czy sportu, wreszcie — portrety ludzi wyróżniających się w pracy zawodowej lub społecznej.

Przypominamy, że termin nadsyłania zdjęć upływa z dniem 30 września rb. Na uczestników konkursu czekają cenne nagrody: I — aparat fotograficzny „Altuca”, II — wieczne pióro i ołówek, III — „Wit Stwoszy” (album), IV — komplet dzieł J. Słowackiego (14 tomów), a dla najlepszego zespołu fotograficznego — siatka i piłka do siatkówki.

Dwudziestu wyróżnionych otrzyma cenne książki pisarzy polskich i obcych.



Umocowanie filtru na oprawie obiektywu.

celofanu krawki kartonowe przebijamy czterema szpilkami, których końce zaginamy i obcinamy.

Dla wyjaśnienia dodajmy, iż pisząc poprzednio o filtrach, mieliśmy na myśli filtry możliwie doskonałe, a więc wykonane ze specjalnego szkła barwionego w masie (nie tylko po zewnętrznych stronach), przy użyciu odpowiednich, laboratoryjnie badanych barwików, oraz oprawionych w sposób gwarantujący równoległe położenie filtru do obiektywu. Pamiętamy bowiem, iż filtr źle barwiony pochłania również i te promienie, których tłumić nie powinien. Poza tym źle umocowany na obiektywie filtr spowodować może nieostry obraz. Nazbyt ciemny, wymaga wielokrotnego przedłużenia czasu naświetlania i daje przesadne efekty, może też być przyczyną nieostry obrazu. Dlatego też rzadko filtry wykonane „domowym sposobem” zastąpić mogą w pełni filtry wykonane przez fabryki sprzętu fotograficznego. Przypomnijmy też, iż dawniej wyrabiane filtry, składające się z dwóch szybek z wklejonym w środek listkiem kolorowej żelatyny, wyszły już całkowicie z użycia.

GORĄCA WIEŚ

AMBINANITELO



17.

„BUDOWAĆ COŚ TRWAŁEGO“

W TEJ rozmowie z wójtem Rajaoną, lekarzem Ranakombe i nauczycielem Ramaso dowiadujemy się rzeczy ciekawych. Rzeczy tak ciekawych i ważnych, że rozmowa nabiera niemal cech wywiadu politycznego. Obok chaty przechodzi właśnie kilka dziewczyn, niosących na głowach pęki zielonych jarzyn z pól. Ich stłumiony, wesoły szczebiot dochodzi do nas jak piosenka. Wygląda to jak żywa scena ze Starego Testamentu, do której przemożnie wplatają się przedwieczne odgłosy tłuczenia ryżu w laona, wielkich drewnianych młynach. Archaiczny obraz i odgłosy, od niezliczonych wieków zespolone z życiem wsi malgaskiej, wvdają się treścią z innego wymiaru i z innej epoki, rzeczą tak odległą od treści naszej rozmowy. A mimo to jaka zależność jednego od drugiego! Od tego, jacy ludzie obejmą władzę w Tananarywie, jakie idee zwyciężą w Paryżu, jakie burze przorają Europę, od tego zależeć będzie w Ambinanitelo los tych dziewczyn z wiązkami na głowach i tych kobiet, łuszczących ryż na kolację rodziną.

W wywodach obydwóch Howów sprawy są dla mnie niejasne. Proszę lekarza Ranakombe o ich wyjaśnienie.

— Przedstawicie plan autonomii politycznej tak, jak gdyby Madagaskar zaludniony był tylko jednym narodem. A przecież żyje tu blisko dwadzieścia różnych szczepów. Jak chcielibyście rozwiązać to zagadnienie? — To nie sprawa trudności. Władamy przecież wszyscy wspólnym językiem, więc antagonizmy między szczepami łatwo dadzą się zatrzeć.

— Czy jesteście tego samego zdania, Ramaso? — obracam się do nauczyciela.

— Nie!

Ramaso siedzi na uboczu. Z napiętą uwagą przysłuchiwał się rozmowie nie spuszczać z nas oka.

— Dlaczego nie? — pyta zdumiony Ranakombe.

Nauczyciel głęboko nabiera powietrza w płuca, jak gdyby chciał tym nadać większej wagi swym słowom:

— Dlatego, że antagonizmy między szczepami istnie-

ją i nie da ich się usunąć sposobami, o jakich mówi nasz doktor. Antagonizm istnieje przede wszystkim między centralnym szczepem Howów a wszystkimi innymi szczepami Madagaskaru jako wynik despotycznych rządów Howów w przeszłym stuleciu. Czy zgadzacie się z tym, doktorze?

— Tylko z zastrzeżeniem, bo feudalny despotyzm Andrianów należy do przeszłości.

— Tak, ale zakorzeniona nieufność wciąż istnieje.

— Od czasu podboju francuskiego — dowodzi Ranakombe — nieufność ta nie ma podstawy i z biegiem czasu musi zginąć sama przez się. Wszystkie bez wyjątku szczepy malgaskie znajdują się obecnie w tym samym położeniu podwładnych i mają tego samego władcę.

Ramaso spogląda na lekarza z po-
błażliwie drwiącym uśmiechem:

— Drogi doktorze, komu chcecie tu zamydlić oczy — vazasze? Albo mnie może? Od czasów podboju francuskiego właśnie spotęgowały się różnice między Howami a resztą szczepów, szczepów mniej lub więcej zacofanych. U was powstał, jak go nazwaliście przed chwilą, stan średni, u innych szczepów tego nie ma, jest tylko chłopstwo. Spójrzcie na siebie: jesteśmy na krańcach krainy Betsimisaraków, oddaleni od Howów o przeszło pół tysiąca kilometrów, a jednak lokalną władzę dzierży tu przedstawiciel narodu howskiego. Jakże to wymowne, że w tej odległej chacie na trzech Malgaszów z wy-

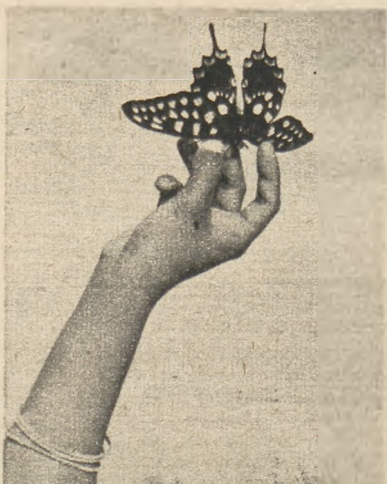
kształceniem jest dwóch Howów! Wyobraźmy sobie, że w tej chwili ustaje panowanie Francuzów i władza Madagaskaru przechodzi w ręce Malgaszów. Przechodzi w czyje ręce? — Jedynie w ręce tych kilku tysięcy przedstawicieli burżuazji Howów — i znowu mielibyśmy to samo, co przed podbojem Francuzów: jedna klasa jednego szczepu panowałaby niepodzielnie i, kto wie, despotycznie nad ludem własnego szczepu i wszystkich innych szczepów wyspy.

— Czy nie bierzecie pod uwagę postępu demokracji?

— przypomina Ranakombe.

— Nie! Nie w tych okolicznościach.

— Na pewno stworzono by warunki podciągnięcia wzwyż zacofanych szczepów.



Tutaj żyją motyle, słynące jako najpiękniejsze na świecie.

— Nie wierzę! Burżuazję cechuje równy despotyzm jak dawnych Andrianów. Burżuazja ma to do siebie, że zazdrośnie strzeże swych przywilejów i opiera się na wyzysku i przemocy nad innymi...

— To w takim razie — mówi Ranakombe ze zwięzonymi wrogo żrenicami — w takim razie nie widziecie sposobu osiągnięcia niezależności Madagaskaru?

— Oo, widzę! — odpowiada Ramaso z zapalem. — Ale osiągnięcie prawdziwej niezależności.

Patrząc trwożnie na niego. Jeśli wobec wójta i lekarza odkryje swe karty, na pewno straci swe stanowisko nauczyciela. Obydwaj Howowie nastawiają podejrzliwego ucha. Chciałbym go ostrzec i powstrzymać, ale jak to zrobić?

— Co to nazywacie: prawdziwej niezależności? — sy-
czy wójt Rajaona.

Ramaso uśmiecha się swobodnie:

— Nie bierzcie mi za złe, że tak otwarcie do was mówię, ale na pewno przyznacie mi rację. Nie wątpię ani chwili w wasz szczery patriotyzm malgaski. Jednak nasze przyszłe życie polityczne nie może opierać się na jednej, stosunkowo nielicznej warstwie, chociażby nie wiem jakie były jej zasługi. Podstawą ludności naszej jest chłop, chłop-rolnik i chłop-hodowca. Rolnik Howa, i rolnik Betsimisaraków, i hodowca Bara, i każdy inny rolnik malgaski bytują w tych samych mniej więcej warunkach i dlatego oni najłatwiej dogadają się ze sobą. Tylko na porozumieniu tej szerokiej, a wspólnej wszystkim szczepom masy ludu można u nas budować coś trwałego i rzetelnego, i tylko władza ludu może nam zapewnić na Madagaskarze sprawiedliwość równą dla wszystkich.

Gdy nauczyciel kończy, nastaje chwila grobowego milczenia. Potem obydwaj Howowie prawie jednocześnie wybuchają ze zgrozą:

— To bolszewizm!

A lekarz Ranakombe dodaje rozbawiony:

— I utopia!

Nie dopuszczam nauczyciela do odpowiedzi. Może byłby ostrożny, ale wolę nie wystawiać go na niebezpieczną próbę. Ażeby zażegnać spór, zrywam się ze stołka i chwytając za kieliszek rumu wznoszę toast na pomyślność Malgaszów:

— Różnice waszych zdań dotyczą późniejszych i można powiedzieć: wewnętrznych spraw. Zanim do tego dojdzie, będzie trzeba usuwać bliższe i bardziej aktualne zapory. Czy zgadzacie się ze mną?

Zgadzają się, a ja mówię dalej dla załagodzenia wą-

ni: — Cenię i lubię was wszystkich Malgaszów, niezależnie od szczepu i odcienia skóry. Dlatego pozwólcie, że wypiję na braterstwo i zgodność całej rodziny malgaskiej!

Gościom moim podoba się życzenie do tego stopnia, że wruszony lekarz opuskuje mnie ramieniem i woła:

— A ja piję na braterstwo Malgaszów z tymi vazahami, którzy są naszymi prawdziwymi przyjaciółmi!

— To niby ja i Bogdan? — śmieje się.

— Tak jest, vazaho! To wy! — ochoczo potwierdzają wszyscy trzej.

Wkrótce goście opuszczają naszą chatę. Wyprowadzam ich na dwór. Słońce dotyka właśnie szczytów górskich i powietrze stało się rześniejsze. Po gorącej rozmowie przyjemnie oddychać na dworze. Palmy kokosowe, rosnące tak obficie dokoła nas i w całej wsi, pokryły się złotem w czerwonym blasku zachodu i są piękniejsze niż kiedykolwiek.

— Uroczy wasz kraj! — mówię z przejęciem.

Zegnają nas zadowoleni. Ostatni podaje mi rękę nauczyciel Ramaso. Ściska dłoń mocniej i dłużej, jak gdyby z podziękowaniem.

18.

MOTYLE, LEMUR I DZIEWCZYNA

POMIMO niechęci do nas wielu z mieszkańców Ambinanitela, jestem pod coraz silniejszym czarem wsi. Jej przejrzyste aleje palm kokosowych, jej bujne gaje bananów, kawy, ylang-ylangu, jej zapuszczone uroczyska dzikich kwiatów zasypujących niektóre zakątki wsi orgią barw — wszystko to tworzy jakieś wspaniałe tło, na którym rozgrywają się wypadki osobliwych ludzi. Nieufność tych ludzi do nas jest może dowodem ich słusznej przeczności i podnieca mnie do tym większego wysiłku, by przełamać wszystkie między nami lody.

Wiernym, niezawodnym przyjacielem moim pozostaje zawsze stary Dżinarivelo. Czasem wychodzimy wspólnie na przechadzkę, która za każdym razem przeobraża się w istną wyprawę, odkrywającą coraz ponętniejsze ustronia i nowe bogactwa przyrody. Przechadzki te od-

Obok chaty przechodzi kilka dziewcząt, niosących na głowach pęki zielonych jarzyn z pól



bywają się jak gdyby na pograniczu wymarzonej bajki, bo przecież cała wieś Ambinanitelo to jeden tropikalny ogród, w którego gąszczach wyrastają, obok prawdziwych kwiatów, chaty na palach, same podobne do wielkich brązowych kwiatów, cudacznych kwiatów.

Na skraju wsi, gdzie zaczynają się pola ryżowe, rośnie kilka bambusów birmańskich, jeszcze bardziej potęgających wrażenie niezmienskości: to gigantyczne kępy trawy, wyrosnięte do wysokości dwudziestu metrów. W tym miejscu żyją motyle, słynące jako najpiękniejsze na świecie. Urania sloana mają na skrzydłach całą czarowną paletę, w której nie brak żywych barw szkarłatu, błękitu, szmaragdu, brązu, czerni i bieli, nawet metalicznych połysków, tylne skrzydła zaś ozdabia kilka wspaniałych ogonów.

Trudno zdobyć te motyle pomimo że jest ich mnóstwo; szubują wysoko, od wierzchołka bambusa do wierzchołka. Patrzymy na nie jak olśnieni, zazdrośnie śledząc ich dumny lot.

— Lolo valorambo — objaśnia Dżinarivelo, co znaczy: motyl z ośmiu ogonami.

— Howowie — powiadam — nazywają je inaczej: Andriandolo, czyli królewski motyl.

— Dobra nazwa — przyznaje starzec.

— Niestety — kiwam głową — te lolo valorambo ogromnie przypominają mi mieszkańców Ambinanitela: oni są dla mnie tak samo nieuchwytni jak kuszące motyle.

Nieopatrzni słowami sprawiam mimo woli przykrość towarzyszowi. Uświadamia on sobie, że właśnie nasza przyjaźń, jego i moja, częściowo powoduje nieprzychylną w stosunku do mnie wsi, składającej się z wielu członków wrogiego rodu Cyjandru i jego zwolenników. Dżinarivela opanowała od pewnego czasu uporczywa myśl, że jego ponętna wnuczka Benaczełina powinna zostać moją vadi-zoną — lecz i na tym polu wyłożyły się tarapaty i nieporozumienia.

— Czy podoba ci się Benaczełina? Powiedz, vazaho! — prosi Dżinarivelo.

Ponieważ słyszałem to pytanie już niejednokrotnie, uśmiewam się zakłopotany.

— Jest ładna i nic jej przecież nie brak — odpowiadam wymijająco.

— Więc chcesz ją za swoją vadi?

— Czy to ode mnie zależy? — pytam.

— A od kogo? — przyjaciel otwiera szeroko oczy i jest wzruszający w tym swoim niezdarstwie sobie sprawy z istoty rzeczy.

— Od niej to zależy! — odpowiadam.

— Ależ ona o tobie myśli!

— I dlatego — sztych do dobrotliwie — przytula się do Zarabe, syna Bezazy?

— Ach, nie przypominaj mi tego, vazaho!

Jeden z uranii zniżył lot i szybuje tuż ponad naszymi głowami. Z zachwytem pochłaniamy jego barwność i wdzięk.

Wobec takiego piękna płowieją wszystkie błahe troski wsi i serca rosną otuchą.

Zegnamy się przyjaźnie i każdy odchodzi w inną stronę, do swej chaty.

W drodze powrotnej mijam jedną z ubocznych uliczek i na jej skrócie, niedaleko już mej chaty, stoję oniemiały. W pośrodku drogi siedzi przede mną na dwóch nogach lemur vari i rozłożywszy ku słońcu przednie łapki wygrzewa się z wyrazem rozkoszy w pocziwej gębie. Podobnego lemura miałem kilka miesięcy temu, gdy odbywałem podróż po centralnej wyżynie wyspy. Piękne zwierzątko wielkości naszego lisa, półpies z kształtu pyszczki, półmałpa ze zwinności nóg i rąk, miało piękne futerko koloru na przemian czarnego i białego, odznaczało się tklwym usposobieniem i było przywiązane do mnie jak wierny pies. Nie chcąc lemura włożyć ze sobą musiałem w końcu rozstać się z nim ku obopólnemu strapieniu i oddałem go w opiekę godnej rodziny malgaskiej. Krajowcy nazywali go babakut.

Teraz oto taki sam lemur siedzi na drodze przede mną. Gdy mnie spostrzeża, nie rusza się, tylko w ślepskach jego powstaje wyraz ogromnego zdumienia, a potem przestachu. Przestachu, że nagle pojawiło się przed nim tak rażące i nieznane stworzenie, biały człowiek. Zwierz jest jak gdyby obezwładniony własnym przerażeniem i wciąż wznosi nad sobą długie ręce, chociaż już zapomniał o słońcu i wygrzewaniu się.

Podchodzę powoli do niego. Dopiero w odległości trzech kroków lemur uprzątnął sobie niebezpieczeństwo, wreszcie opuszcza ręce i z okrzykiem pędzi w stronę pobliskiej grupy palm kokosowych, gdzie krząta się kilkoro osób. Ludzie uderzają w głośny śmiech. Ustają w swej pracy i patrzą na mnie i na lemura. Zbierali orzechy kokosowe.

Babakut przytula się do nóg jednej z dziewcząt. Łagodnie uwalniając się z jego objęć dziewczyna ujmuję go za przednią łapkę i prowadzi do mnie jak dziecko. Lemur opiera się i skomle, ale młoda ramata pieszczotliwymi słowami stara się uspokoić jego lęk. Poznaję ją. To Velomody, wnuczka Dżinarivela, a młodsza siostra Benaczełiny.

— Bon jour, monsieur! — wita mnie podając nieśmiało rękę.

— Dzień dobry ci, Velomody! Czy to twój babakut?

— Oui, monsieur.

— Jest ładny, ale trochę dziki.

Z bliska widzę, że Velomody ma niezwykle długie ręce, które rzucają cień na jej czarne oczy i przedziwnie podkreślają ich głębię. Dziewczyna nosi na sobie simbu, podłużną płachtę płótna, szczelnie opasującą ciało od piersi aż do kolan, podczas gdy górna część piersi i ramiona pozostają odkryte. Velomody z wysiłkiem szuka francuskich słów i mówi:

— Nie on dziki! To ty pewnie dziki!

I figlarnie wskazuje na mnie palcem.

CIĄG DAJSZY NASTĄPI

SWIAT

o tym wie!

USTA MILCZĄ, DUSZA ŚPIEWA



Co też sobie myśli Wysocki Komisarz USA w Niemczech, p. James B. Conant, patrząc w Berlinie na plakat Festiwalu Bukareszteńskiego? Niezawodnie żałuje, że nie danym mu było wysłać jego o reprezentacji młodzieżowej na Festiwal — oczywiście reprezentacji MP, czyli żandarmerii wojskowej. Pokazaliby oni szermierkę (pałkami gumowymi), rzut granatem

(z gazem łzawiącym) i inne ćwiczenia, często przerabiane przy spotkaniach z bojownikami pokoju. W części artystycznej: po-brzękiwanie szabelką i radosne tańce przy stosie, na którym płoną dzieła znanych komunistycznych działaczy, jak np. mr. Gogola czy mr. Twaine'a. Ach — myśli sobie zadumany p. Conant — jak to przyjemnie jest sobie czasem pomarzyć...

KRÓL WSZYSTKO PRZEWIDZIAŁ

472 Hiszpanów z osławionej frankistowskiej „Błękitnej Dywizji” — którym udało się ocalić tzw. nagie życie z wielkiego lania, jakie dostali na froncie wschodnim u boku swych hitlerowskich kolegów po fachu (i niedoli) — wyniosło z tej przygody nerwowe drgawki na dźwięk niewinnego imienia „Katusza” oraz — „Żelazne Krzyże”. Jak wiadomo, to hitlerowskie odznaczenie posiada swastykę jako główny motyw dekoracyjny. W Trizonii noszą teraz „zdenazyfikowane” order — bez swastyki. W Hiszpanii sprawa ta była przedmiotem rozważań samego szefa protokołu madryckiego MSZ. Ostatnio wydał on salomonowy wyrok, który uspokoił brunatne serca niedobitków „Błękitnej



Dywizji”: „...król Karol III postanowił w roku 1774, że nie wolno zmieniać orderów zagranicznych bez zgody tego, który je nadał”. Ponieważ Adolf przebywa już w towarzystwie starogermańskich bogów na Walhalli — więc „Żelazne Krzyże” (ze swastyką) dyndają nadal na mundurach frankistowskich hajdamaków.

BEZCENNE RELIKWIE

Na licytacji w Londynie wystawiono na sprzedaż pamiątki z tych dobrych czasów, które chcieliby zrekonstruować niektórzy brytyjscy działacze. Był więc tam miecz Roma-

nowów (hej, iza się w oku kręci), były sztandary formacji SA (jak to oni wtedy ładnie śpiewali: „Podnosi się słońce na wschodzie i wzywa miliony do boju”) oraz oprawny w pergamin egzemplarz pierwocin literacko-politycznych Hitlera pod tytułem „Mein Kampf”. Za ten egzemplarz pierwszego wydania, za tę bezcenną relikwię zapłacił 48.000 zachodniemieckich marek niejaki Dawson. Sentyment można zrozumieć, kiedy dodamy, że w czasie ostatniej wojny zbił on grube pieniądze na dostawach broni.



FREDZIO MA FACHOWCA



Małpka Fredzio, występująca przed amerykańską publicznością telewizyjną, cieszy się takim powodzeniem, że do eksploatacji miłego stworzonka powstało całe przedsiębiorstwo. Na zdjęciu widzimy Fredzia w otoczeniu „jego” trzech agentów reklamowych, których zadaniem — jak pisze tygodnik „Look” — jest troska, „aby imię Fredzia pokazywało się w gazetach”. Ci fachowcy od reklamy —

ciągnie dalej tygodnik — „traktują małpkę tak jak każdą inną sławną osobistość”.

W tym zespole trzech ludzi, sławiących jedną małpkę, pierwsze skrzypce gra Bob Graham, który był uprzednio zatrudniony przez amerykański Departament Stanu w Wiedniu. Po takiej praktyce reklamowania tzw. małpiej złośliwości i małpich figli stało się widać nawykami pana Grahama.

SZTUKA (NIE)STOSOWANA

Niesłychane! Wyobraźcie sobie tylko, że 124 malarzy amerykańskich posłało 340 swych prac na wystawę sztuk plastycznych w Paryżu. Jury w składzie: Jean Cassou — dyrektor paryskiego Muzeum Sztuki Współczesnej, Rene Huyghe — profesor sztuki w College de France, oraz Edouard Goerg — przewodniczący Stowarzyszenia Francuskich Malarzy i Grafików — nie dopuściło do wystawienia ani jednego z dzieł. Tupet tych Francuzów, którzy we własnym kraju chcą decy-

dować o tym, co jest, a co nie jest sztuką — jest niesłychany!

Między odrzuconymi dziełami rodaków, które (dla otarcia im łez) reprodukowali amerykański tygodnik „Life”, przeważają „arcydzieła” w rodzaju tego, które i my z kolei reprodukowujemy. I kiedy się patrzy na te obrazy (kobieta na pierwszym planie to ta, która je popelniała), staje się wszystko jasne: jury nie wiedziało po prostu, gdzie jest dół, a gdzie góra malowidła...



TEATR ŚWIAT

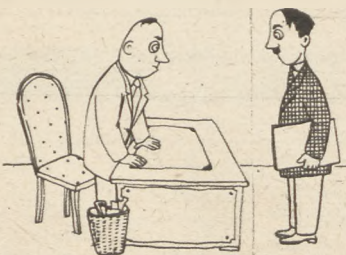
Dyrekcja: J A N S Z E Ł A G
Dekoracje i kostiumy: NA-GA
Tekst: JERZY OFIERSKI

ZESPÓŁ ŚWIETLICOWY

Udział biorą: DYREKTOR
Ob. CZYŻAK

Ob. CZYŻAK (wchodzi do gabinetu dyrektora): Dzień dobry. Obywatelu dyrektorze, jestem Czyżak, nowy kierownik świetlicowy.

DYREKTOR: Ach, to wy! Bardzo się cieszę! Zapewne słyszeliście o



naszym fabrycznym zespole świetlicowym?

Ob. CZYŻAK: Oczywiście...

DYREKTOR: Bo to widzicie, Obywatelu, w naszych zakładach kła-

dziemy duży nacisk na życie świetlicowe. Rzecz jasna, że były również i u nas pewne niedociągnięcia. Muszę przyznać samokrytycznie — mój poprzednik zupełnie nie zwracał uwagi na ten jakże ważny problem...

Ob. CZYŻAK (potakuje rozpromieniony).

DYREKTOR: Obecnie jednak nasz zespół świetlicowy jest jednym z najlepszych w mieście. Życzę więc Obywatelowi owocnej pracy na polu i niwie (ściska serdecznie dłoń ob. Czyżaka).

Ob. CZYŻAK (kieruje się do drzwi).

DYREKTOR: Chwileczkę... Jutro mamy w zakładach uroczystość wręczenia nagród pracownikom i w związku z tym należy zorganizować część artystyczną.

Ob. CZYŻAK: Już jutro? Nie wiem doprawdy, czy podołam... nie znam przecież zespołu.

DYREKTOR: Siadajcie. Tym razem pomogę wam...

Ob. CZYŻAK (z wdzięcznością): Dziękuję.

DYREKTOR: A więc przede wszystkim orkiestra... Zwróćcie się do naczelnika Kłoca; tu jest jego adres. On zna muzyków z Filharmonii Objazdowej, zaangażujecie dziesięciu, stawka jak zwykle. Mundury orkiestry zakładowej wyda dla nich magazynier.

Ob. CZYŻAK (zdziwiony): Z Filharmonii... Magazynier wyda?

DYREKTOR: Oczywiście. Poza tym nasz balet powinien coś zatańczyć. Pójdźcie do kierownika świetlicy Zakładów Produkcji Stołów Okrągłych i on wydeleguje, powiedzmy... sześć par... My im damy zwykle auto ciężarowe na wyjazd ich zespołu w teren, a oni uzupełniają w razie potrzeby nasz fabryczny balet.

Ob. CZYŻAK: No dobrze, ale jak tu w jeden dzień przygotować chór?

DYREKTOR: To bagatela. Nasz główny księgowy jest prezesem chóru „Cytra”. Przygotowanie tego chóru do występów w naszej fabryce wchodzi w zakres jego obowiązków służbowych. Trzeba tylko sprawdzić, czy odebrano z pralni koszule męskie i białe bluzeczki dla niewiast, bo — widzicie — nasz fabryczny chór występuje zawsze jednolicie ubrany.

Ob. CZYŻAK (lekko oszołomiony): Bluzeczki... ubrany... Ale może chociaż soliści?

DYREKTOR (znieczepliwiony): Nasz zespół świetlicowy jest zespołem młodym, sądzę więc, że na solistów mamy prawo zaangażować kilku zawodowych artystów. W tej sprawie zwróćcie się do Państwowej Organizacji Imprez Artystycznych „Artos”. Oni skierują do nas odpowiednich ludzi. Stronę finansową załatwi nasza księgowość. Proszę ich tylko o tym powiadomić.

Ob. CZYŻAK: Dziękuję za informacje... Uroczystość odbędzie się oczywiście w naszej świetlicy?

DYREKTOR: Nasza świetlica chwilowo jest przerobiona na magazyn podręczny, ale po to przecież zatrudniamy kierownika świetlicy, żeby się wystarał o odpowiednią salę w mieście. Na ten cel są zresztą pewne fundusze...

Ob. CZYŻAK (kieruje się ku drzwiom).

DYREKTOR: Acha! I proszę powiadomić prasę... Niech widzą, że u nas poważnie traktujemy życie świetlicowe.

KURTyna

JERZY LITWINIUK

TUSMA

Studentom z Niemiec zachodnich

Czy wiecie, co to jest TUSMA?
Imię?
Cygańskie zaklęcie?
Nie —
to w zachodnim Berlinie
stowarzyszenie studenckie.

„Telephoniere Und Studenten Machen Alles“ —
(zatelefonuj i studenci wszystko zrobią)
froterują,
cerują wspaniale
między fizyką i mikrobiologią.

Możliwości jest cały szereg
i zarobków bogata skala:
od tragarzy
do fordanserek
w jazgotliwych nocnych lokalach.

Studenten machen alles —
studenci zrobią wszystko!
Oto tubylec,
służalec
do usług, imperialisto!

Nieprawda!
Tu nikt się nie zniżył,
choć plecy zgarbione bolą.

Ten tylko zhańbił się fizyk,
chemik
czy mikrobiolog,
który
akademicką
wiedzę
sprzedaje handlarzom
śmierci —

i robi wszystko,
wszystko,
co tamci rozkażą...

Ma pracę
„w swoim fachu“,
zapłatę w „miękkich“ i „twardych“.
Może nie czuje strachu
ni — byłych kolegów pogardy?

Tak!
Warto trzeć podłogi
i buty przybyszom czernić
za wledzy lyk
równie drogi
jak woda z pustynnej cysterny —

Warto
z uporem
co dnia
dziesiątki przeszkód kruszyć,
by myśli
nie kupił zbrodniarz,
by mogła
ludowi posłużyć.

Drodzy Czytelnicy!

Sprawa rozejmu w Korei i rozpoczęcia pokojowej odbudowy w Koreańskiej Republice Ludowo-Demokratycznej jest w dalszym ciągu tematem licznych listów napływających do Redakcji.

Tak na przykład ob. Bronisław Namiećta z Lublina pisze:

„Jestem stałym czytelnikiem „Świata“ i mam do Redakcji jedną prośbę, mianowicie: abyście więcej pisali o życiu narodu koreańskiego, abyście na łamach swojego pisma wzywali do jak największej pomocy dla Korei naród polski, a przede wszystkim młodzież polską, by swą pomocą dla Korei dała jak największy wkład do walki o pokój, jak i o lepszą przyszłość narodu koreańskiego“.

W dalszym ciągu swego listu ob. Namiećta nadmienia, że sam trzykrotnie brał udział w zbiorze darów dla narodu koreańskiego.

Pomoc w odbudowie barbarzyńsko zniszczonej Korei jest dziś sprawą honoru wszystkich miłujących pokój narodów. Pomoc ta nie może nosić charakteru jednostronnej akcji — winna trwać stale, tak długo, dopóki nie znikną na ulicach Phenianu i we wsiach pod Wonsanem ostatnie ruiny.

Ze wszystkich krajów obozu pokoju płyną już zobowiązania aktywnego udziału w odbudowie Korei, jej miast, dróg, fabryk, zabytków kultury. Z samej Korei nadchodzą wiadomości o rozpoczęciu wielkiego dzieła odbudowy przez bohaterów narodu.

O postępach w odbudowie Korei będziemy — rzecz jasna — stale pisać. I nie wątpimy, że Czytelnicy przyjmą te wiadomości z równym zainteresowaniem, jak informacje o odbudowie Traktu Starego Miasta czy Gdańska.

* * *

Z listów naszych Czytelników, krytykujących te czy inne działy i artykuły naszego pisma, omówimy dwa, poruszające zresztą różne sprawy.

Trudno nie zgodzić się z ob. Franciszkiem Czachorskim z Witowa (pow. Aleksandrów Kuj.), który zwraca uwagę na nierówny poziom satyry w „Świecie”. Z faktu tego zdaje sobie sprawę również Redakcja i wierzy, że stała i rzeczowa krytyka zamieszczonych w piśmie utworów satyrycznych, że możliwe częste uwagi, nadsyłane nam przez Czytelników — pomogą podnieść na wyższy poziom nasz dział satyry.

Nie zgodzimy się natomiast z twierdzeniem ob. Czachorskiego, że zamieszczamy często rysunki i karykatury niezrozumiałe dla nikogo. Rzecz stwierdzona, że poczucie humoru nie jest u wszystkich jednakowe i nieraz zdarza się, że dowcip, satyra lub karykatura, która do jednego Czytelnika nie przemówi, może drugiemu wydać się zabawną i trafną.

* * *

Innym zgola problemem zajmuje się ob. Leszek Waligóra z Wrocławia, jak pisze — „pilot szybowcowy trochę więcej niż trzeciego stopnia”. Swój obszerny, 12-stronicowy list poświęca ob. Waligóra noweli „Mucha” nie siada” zamieszczonej w Nr 30 (105) „Świata”, a raczej licznych błędów fachowym, jakich dopuścił się autor noweli, Jacek Żukowski.

Zdaniem ob. Waligóry błędy i nieścisłości te są tak jaskrawe, że winien je spozrzeć każdy mniej więcej „oblatany” szybownik. Tymczasem na temat noweli „Mucha” nie siada” nie napłynęły inne listy. Dlatego też Redakcja zwraca się z apelem do pilotów szybowcowych i wszystkich miłośników tego pięknego sportu, by zabrali głos na temat noweli Żukowskiego. Zarówno Redakcja, jak i autor „Muchy” będą wdzięczni za wszelkie spostrzeżenia i uwagi krytyczne. A ob. Leszka Waligórę zapewniamy, że w wypadku potwierdzenia jego zarzutów przez „kolegów po fachu” — wrócimy jeszcze do tej sprawy.

„ŚWIAT“

KONKURS FOTOGRAFICZNY

pod hasłem „Śląsk w okresie pierwszego 10-lecia władzy ludowej“

Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Stalino-grodzie ogłasza „Konkurs Fotograficzny“ pod hasłem „Śląsk w okresie pierwszego 10-lecia władzy ludowej“.

Za najlepsze zdjęcia fotograficzne ustanawia się następujące nagrody:

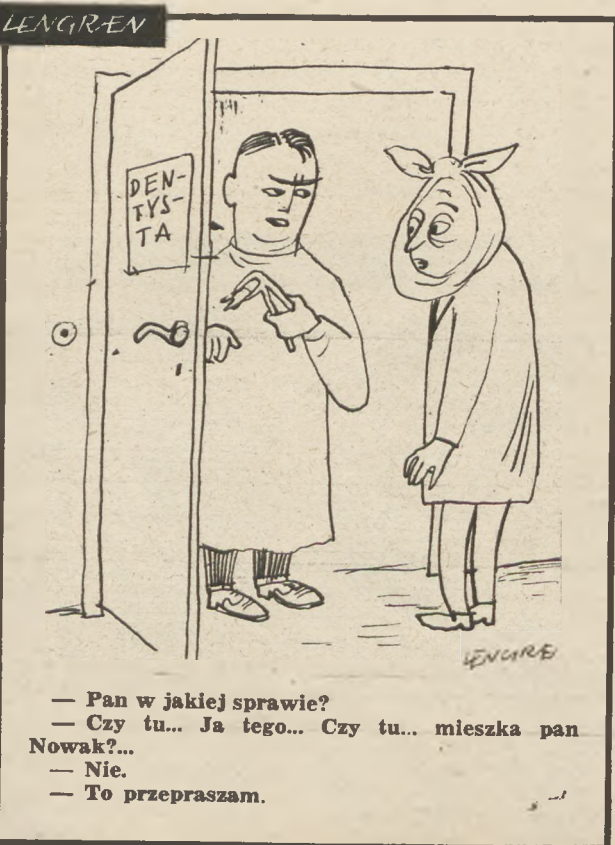
1 nagroda I	2.000 zł
2 nagrody II	po 1.500 zł
5 nagród III	po 1.000 zł
5 nagród pocieszenia	po 300 zł

Szczegóły Konkursu są do nabycia w gmachu Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Stalino-grodzie, ul. Jagiellońska Nr 25 I piętro, pokój 262, względnie zostaną na życzenie wysłane pocztą.

SWIAT

TYGODNIK ILUSTROWANY
Redaguje Komitet
Wydawca: R.S.W. „PRASA“

Redakcja: Warszawa, Nowy świat 58. Telefony: Red. Naczelny: 6-41-64. Centrala 6-41-02, 6-41-23. Administracja: Warszawa, Wiejska 12, tel. 8-00-81. Prenumerata miesięczna zł 4,80, kwartalna zł 14,40, półroczna zł 28,80, roczna zł 57,60.
Zakłady Wkłostodrukowe i Introligatorskie RSW „Prasa“
Warszawa, Okopowa 58/72.
Zam. Nr 513. Papier rotogr. V/30—82 cm. — 4-B-18747

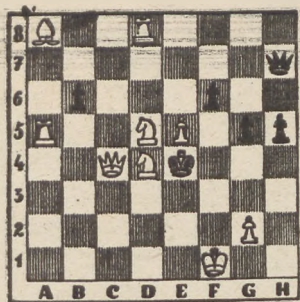


— Pan w jakiej sprawie?
— Czy tu... Ja tego... Czy tu... mieszka pan Nowak?...
— Nie.
— To przepraszam.

SZACHY

ZADANIE 7

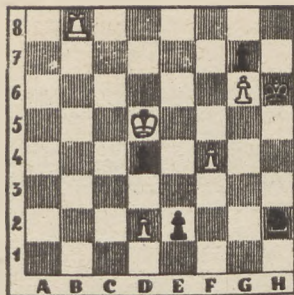
W. Pachman



Mat w 2 posunięciach (3 punkty).

ZADANIE 8

Bracia Płatow



Białe zaczynają i remisują (5 punktów).

PARTIA NR 75

grana podczas tegorocznych mistrzostw RSFR.

Partia angielska

Białe: Weltmänder
Czarne: Aronin

1. c2-c4 Sg8-f6 2. Sb1-c3 c7-c5 3. Sg1-f3 d7-d5 4. c4:d5 Sf6:d5 5. e2-e3.

Możliwe też jest 5. e4 Sb4 6. Gc4! Sd3+ 7. Ke2 z ostrą grą.

5... Sb8-c6 6. Gf1-b5 e7-e6. Czarne nie obawiają się zdwojenia pionów na linii „c”, gdyż w tym przypadku miałyby rekompensatę w postaci nacisku na białego piona „d”.

7. 0-0 Gf8-e7 8. Sf3-e5 Gc8-d7 9. Sc3:d5?

Posunięcie to jest poważnym błędem. Należało grać 9. G:c6 G:c6 10. d4.

9... Sc6:e5 10. Gb5:d7+ Hd8:d7 11. Sd5:e7 Se5-d3!

Białe liczyły zapewne tylko na 11... H:e7 12. d4 z równą mniej więcej grą. Po posunięciu w tekście czarne uzyskują przewagę.

12. Hd1-g4 Ke8:e7 13. b2-b4. Białe bojąc się brać piona g7 pragną za pośrednictwem

ofiary piona wprowadzić jak najszybciej swojego gońca do gry.

13... c5:b4 14. a2-a3 a7-a5. Nie można było grać 14... b3 15. a4 b2 z powodu 16. G:b2 i 17. Hb4+

15. a3:b4 a5:b4 16. Wa1-b1.

Znacznie lepsze było 16. Gb2 i jeśli 16... S:b2, to 17. H:b4+

16... e6-e5 17. Hg4-h4+ f7-f6 18. Wb1-b3 b7-b5 19. f2-f4 e5:f4 20. Gc1-b2 Wa8-a2 21. Gb2-d4 Wa2:d2 22. Wf1-a1 Wh8-a8! 23. Gd4:f6+ g7:f6 24. Hh4:h7+ Ke7-e6 25. Hh7-e4+ Sd3-e5 26. He4:a8 Wd2-d1+ 27. Wa1:d1 Hd7:d1+ i białe poddały się, gdyż po 28. Kf2 nastąpiłoby 28... Sg4 mat.

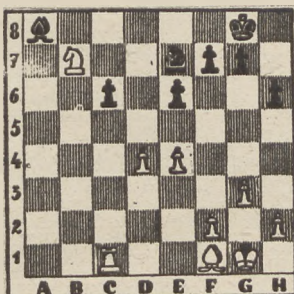
MECZ SZACHOWY „Świat” – Czytelnicy

W partii W1 Czytelnicy nie byli zdecydowani, czym bić piona b7. Przewagę głosów (53,8%) uzyskało 37... Wb8:b7. W partii W200 najczęściej głosów (62,4%) padło na 37...

b6-b5. Pozostałe głosy rozdzielone były między rozmaite posunięcia.

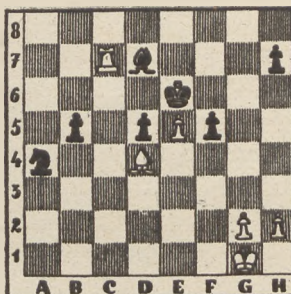
Po uwzględnieniu kolejnego posunięcia Redakcji partie nasze wyglądają następująco:

PARTIA W1



36. b5-b6 Wc8-b8
37. b6-b7 Wb8:b7
38. Sa5:b7

PARTIA W200



36. Wf1-c1 Wc6:c2
37. Wc1:c2 b6-b5
38. Wc2-c7

Przypominamy, że odpowiedzi na 38 posunięcie Redakcji należy wysłać najpóźniej we wtorek, dn. 25 sierpnia br.

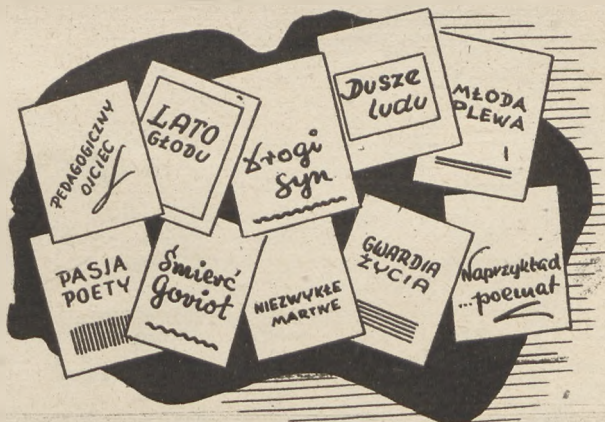
ROZRYWKI UMYŚŁOWE

JAKIE TO KSIĄŻKI?

Z podanych na rysunku wyrazów ułożyć tytuły dziesięciu powieści oraz podać nazwiska ich autorów.

Rozwiązania należy nadsyłać w terminie 10-dniowym od daty ukazania się numeru pod adresem Redakcji z dopiskiem na kopercie „Rozrywki umysłowe”. Wśród Czytelników, którzy nadesłali prawidłowe rozwiązania, rozlosowanych zostanie

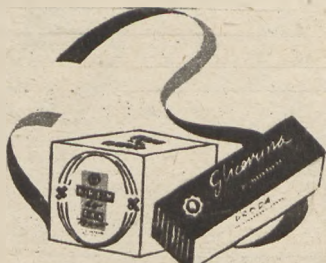
20 nagród książkowych



DBAJ O RĘCE...



Sprawne, dobrze utrzymane ręce są równie bezcenne dla pianistki, jak dla laborantki czy pracownicy zakładów tkackich. A więc pielęgnujmy ręce i pamiętajmy, że przy użyciu w ciągu dnia gliceryny zgęszczonej „URODA”, a na noc kremu do rąk „LECHIA” lub „HALINA”, nawet najbardziej zniszczone odzyskają swój estetyczny wygląd.



TANIO i ŁADNIE

cimy do zeszłorocznych sukien wełnianych i sweterków. Jesień jest także porą przeróbek.

Suknia u góry jest właśnie przerobiona ze starego płaszcza.

U dołu dwa sweterki-bluzki, które możemy nosić do kostiumu albo do spódnicy pod płaszcz.





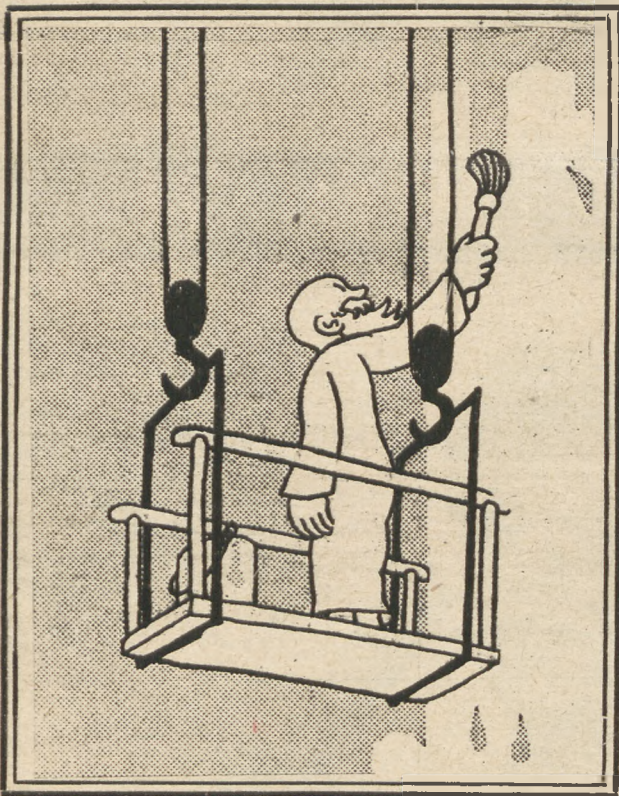
jean
effel



Dwa obozy światowe.



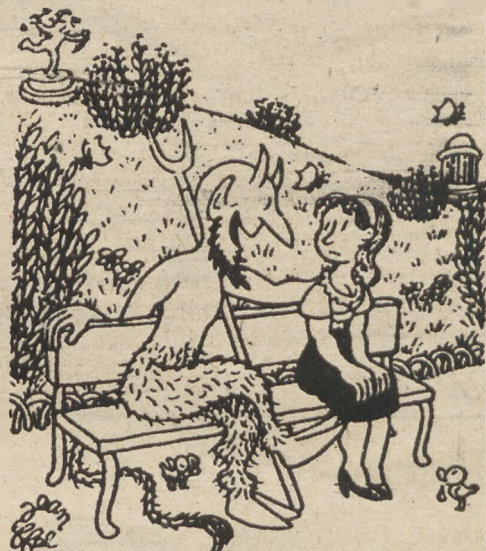
Pęta, które wiążą francuskie kolonie z Francją (z napisem na portalu francuskiego ministerstwa spraw zagranicznych).



Tworzenie lazuru.



Mały Herkules w walce z dwoma złymi gadami. „Nazywam się Lucyfer — ale możesz mi mówić Lulu!”



Jak powstał królik.